MIASTO W ZASKOCZENIU STR. 5

PARSZYWE KINO STR. 8

KOCHANA MAMO!

LISTY Z KOLONII STR. 1 i 5

ŚMIERTELNY CIOS STR. 10

ODGŁOSY

ROK XVIII NR 28 (918) 10 LIPCA 1975 ROKU CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

REKOMENDACJE

Polubić warzywa i... jeść. Tak radzi nam Bogda Madej. Zresztą nie tylko ona. Zjadamy ich stanowczo za mało. Aby podaż warzyw i owoców była wystarczająco duża, by bukiet z jarzyn był dostatecznie bogaty i różnorodny, a także coraz bardziej urozmaicony, dbają o to nasi naukowcy. Instytut Warzywnictwa w Skierniewicach, o którym dziś piszemy, przygotowuje nam niespodzianki w postaci nowych odmian grzybów... hodowlanych. Jakich? O tym, mówi już autorka reportażu oraz prof. dr hab. Zbigniew Gertych, kierujący placówką badawczą Instytutu Warzywnictwa, a takoż sterujący w kierunku... inżynierii genetycznej, która podobno stanowi jedyne wyjście z impasu w hodowli warzyw.

Skierniewice są także tematem reportażu Lucjusza Włodkowskiego. „Jedno z 49", to tytuł cyklu o nowych miastach wojewódzkich. Czym, i jak żyją tam ludzie, pisze autor reportażu „Miasto w zaskoczeniu". Czy potrafą wykorzystać w pełni daną im szansę? Skierniewiczanie i ich władze są pełni optymizmu.

Sprawy młodych są przedmiotem dociekań Ryszarda Binkowskiego. O tym, że nie są one ani proste, ani łatwe, zarówno dla nich samych i ich rodziców, jak i dla społeczeństwa, świadczy przypadek Janki. Ile jest w tym winy ludzi z nabliższego otoczenia, którzy nie potrafili w odpowiedniej chwili wkroczyć w akcję? Nauczmy się patrzeć i przewidywać!

Z dziedziny literatury proponujemy dziś fragmenty reportażu Teresy Lechowskiej, nagrodzonego w XI Konkursie „Rubinowej Hortensji" drugą nagrodą w dziale prozy, oraz wiersz Ludwika Gebela „Kalejdoskop", który uzyskał nagrodę pierwszą w dziale poezji tegoż konkursu.

Okres urlopowy sprzyja lekturze naszej prasy, a także porożom. O tym jak to czynić, pisze Wiesław Jażdżyński. Refleksje autora nie są bynajmniej optymistyczne ani dla czytelnika ani dla podróżnego. Cóż jednak czynić, skoro „skazani" jesteśmy i na prasę, i na podróże Polskimi Kolejami Państwowymi. Przeżyjemy.

NAUKA I WARZYWA

Lekarze zalecają: **jedzcie warzywa i owoce, bo to zapewni wam zdrowie!** Wierzymy lekarzom, ale z jedzeniem warzyw nie jest u nas najlepiej. W 1970 roku statystyczny Polak zjadał **98 kg warzyw**, w 1971 natomiast — tylko 85,8 kg. W 1972 roku ilość warzyw zjedzonych przez statystycznego Polaka spadła jeszcze bardziej i wyniosła 83,8 kg. Wzrost nastąpił dopiero 1973 roku i wtedy statystyczny Polak zjadł **93 kg warzyw.** Ten nagły skok spowodowany był rozbudową wielkich, sprowadzonych z Bułgarii, szklarni. Na przykład w Żdżarach koło Łodzi, pod szkłem znalazło się 12 hektarów ziemi.

Spółdzielnie produkcyjne i PGR dają jednakże w sumie niewiele warzyw. Głównym ich producentem są indywidualni rolnicy. Dają oni około **95 proc.** całej krajowej produkcji warzyw. Jest to — jeśli tak się można wyrazić — produkcja uboczna. Mało jeszcze rolników specjalizuje się w uprawach warzyw. Warzywa uprawia się najczęściej i najpowszechniej na przydomowych działkach, w przydomowych ogródkach. Uprawa warzyw nie cieszy się u nas uznaniem. Ogrodników pogardliwie nazywa się „badylarzami", zazdrości się im dochodów, podejrzewa o odradzanie kapitalizmu w Polsce, ale nie ceni się ich pracy.

Dalszy ciąg na str. 3

BOGDA MADEJ

POLUBIĆ WARZYWA

LISTY Z KOLONII

Rozpoczynamy druk autentycznych listów dzieci, piszących do rodziców z koloni i obozów. Nie ma chyba potrzeby uzasadniania, dlaczego zdecydowaliśmy się na publikację listów. Ich lektura wszystko wyjaśnia, a urok dziecięcych spojrzeń i tłumaczy nieporadność stylu i ortografii.

Jeśli Wasze dzieci przysłały Wam ciekawe listy, pełne dziecięcej wyobraźni i uroczego widzenia wakacyjnych przygód, to nadeślijcie je do redakcji. Będziemy je drukowali, a na życzenie małych autorów lub ich rodziców nazwiska zachowamy tylko do własnej wiadomości.

Czekamy na Wasze listy!

Dziś drukujemy listy Ewy L. (lat 9).

KOCHANA MAMO!

Jak tylko weszłam do salki, gdzie były te moje koleżanki, dowiedziałam się o przezwiskach. Na przykład: moje koleżanki Anetka i Dorotka są Hupemi i Hopema, ja mam przezwisko wesołek, a ta dorot, Gapcio. Jest tu A-psik i myszki trzy, myszka Miki i Dixsi i Pixsy, jest tu Cypisek i Rumcjas i Hanka. Dziś byliśmy w mieście i było bardzo ciepło ale jak mi przykazałaś nie kupiłam sobie loda, chociaż miałam taką chęć. Jestem w grupie drugiej a Moniczka jest w grupie 5, piszę list 7 czerwca a jutro 8 czerwca jest wieczorek taneczny, cieszę się, że moja siostrzyczka nie jest sama, mamy dobrą panią i chodzimy na wycieczkę. Ubieram się ciepło, tak samo jak Monika. Nie kąpaliśmy się bo piasek jest mokry, a woda w morzu jest zimna, mam jeszcze tę czekoladkę. Pieniądze dałam pani a wydałam sześć zł a 40 mam u pani Nie wiem co pisać bo mam już mało linijek

Wasz Wesołek

Dalszy ciąg na str. 5

HISTORIA OBYCZAJÓW (IV)

ZBIGNIEW KUCHOWICZ

ŻYCIE MIŁOSNE ZYGMUNTA AUGUSTA

Oskarżeń nie można cytować bezkrytycznie, były bez wątpienia przejaskrawione. Nie ulega przecież wątpliwości, że Zygmunt August wychował się w klimacie sprzyjającym egocentryzmowi, grożącym zdeprawowaniem. W jego treningu społecznym za mało wpajano mu poczucia obowiązków, zrozumienia dla niedoli ludzkiej, za mało uczulano go na dostrzeganie krzywd społecznych. Nader istotne, iż nie otrzymywał przygotowania do kierowania państwem, nie zapoznano go dokładniej z prawami Rzeczypospolitej, z układem sił, mechanizmami społecznymi i politycznymi kształtującymi losy kraju. Sztuki rządzenia uczył się dopiero później, już na tronie, na przykrych osobistych doświadczeniach.

„Wychowanek lutnistów i kobiet", jak trochę tendencyjnie pisze o nim Władysław Konopczyński, wyniósł z młodości relatywizm etyczny, mógł rzeczywiście razić obywateli brakiem zainteresowań wobec spraw państwowych i zbytnią swobodą obyczajową. W jego wychowaniu ścierały się jednakże przeciwstawne sobie tendencje, oddziaływały także pozytywne wzor-

Dalszy ciąg na str. 6

OD CZWARTKU DO CZWARTKU

POSIEDZENIE KOMISJI ZJAZDOWEJ

W dniu 7 lipca odbyło się pod przewodnictwem I sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka kolejne posiedzenie komisji zjazdowej. Na posiedzeniu przedyskutowano wstępny projekt wytycznych Komitetu Centralnego na VII Zjazd PZPR, przygotowany przez zespoły powołane w ramach komisji.

„KAŻDY DZIEŃ NA WAGĘ ZŁOTA"

Odbyło się już posiedzenie Komitetu Organizacyjnego i komisji konkursowej tradycyjnego konkursu „Głosu Robotniczego" — „Każdy dzień na wagę złota". Na czele powołanej komisji konkursowej stanął kierownik Wydziału Budownictwa KŁ PZPR — Z. Iwan, a w jej skład weszli: dyrektor Łódzkiego Zjednoczenia Przedsiębiorstw Budownictwa Ministerstwa Przemysłu Lekkiego — Z. Gawroński, zastępca dyrektora CZSBM Oddział w Łodzi — J. Pirowicz, dyrektor naczelny Miejskiego Zarządu Inwestycji Miejskich — S. Szyszkowski, dyrektor Zjednoczenia Budownictwa „Centrum" — E. Laskowski, dyrektor Zjednoczenia Budownictwa Komunalnego — J. Smuga oraz zastępca redaktora naczelnego „Głosu Robotniczego" — Krzysztof Pogorzelec.

Podobnie jak w latach ubiegłych konkurs spotkał się z dużym zainteresowaniem i wpłynęło już wiele zgłoszeń, które obejmują inwestycje przemysłowe, mieszkaniowe, budownictwa socjalnego i komunalnego. Zgłoszone inwestycje wykonane zostały i przekazane do użytku w roku ubiegłym, i wszystkie charakteryzują się znacznym przyspieszeniem robót budowlano-montażowych. Wykonane zostały szybko, sprawnie i oszczędnie i zdobyły uznanie użytkowników. Na podstawie dokonanej oceny komisja konkursowa wytypowała do nagród i wyróżnień 16 różnych inwestycji. Ogłoszenie wyników konkursu nastąpi 19 lipca br.

MIĘDZYNARODOWE TRIENNALE TKANINY „ŁÓDŹ 75"

Z inicjatywy Zarządu Okręgu ZPAP w Łodzi organizowane jest Międzynarodowe Triennale Tkaniny, Unikatowej i Przemysłowej. Do międzynarodowej ekspozycji zaproszeni zostali artyści z kilkunastu krajów — zaprezentowane będzie około 50 rodzajów tkanin. Zorganizowana impreza będzie pierwszą na tę skalę międzynarodową konfrontacją twórczości w tej dziedzinie odbywającą się w krajach socjalistycznych. Równocześnie jest to pierwsza w świecie próba jednoczesnego pokazania tkaniny unikatowej i tkaniny przemysłowej.

Organizatorami tej imprezy są: Związek Polskich Artystów Plastyków, Muzeum Historii Włókiennictwa w Łodzi, Biuro Wystaw Artystycznych w Łodzi i Zakłady Artystyczne „Art". Komitetowi Honorowemu przewodniczy wicepremier i minister kultury i sztuki — Józef Tejchma. Na czele Komitetu Organizacyjnego stoi Wł. Bojkow, komisarzem Triennale jest J. Frątczak.

W tych dniach zakończyło pracę jury, które kwalifikowało prace artystów krajowych. Spośród 200 nadesłanych projektów tkaniny wybrano 92. Do konkursu przystąpili wszyscy najwybitniejsi twórcy z całego kraju. I Międzynarodowe Triennale Tkaniny — Łódź 75" otwarte zostanie w salach Centralnego Muzeum Historii Włókiennictwa w Łodzi.

ŁÓDZKI DZIENNIKARZ LAUREATEM

W sobotę odbyło się w Warszawie spotkanie laureatów konkursu na reportaż z życia ludzi pracy. Organizatorami tej imprezy były Centralna Rada Związków Zawodowych i Instytut Wydawniczy CRZZ.

I nagrodę otrzymał Jan Bąbiński z Polskiego Radia w Łodzi za pracę „Dzień powszedni załóg". Dwie drugie nagrody zdobyli: Jan Kopeć z tygodnika „Kultura" za reportaż — „Ballady na osiem i trzy dziesiąte" i Tadeusz Robak z „Życia Literackiego" za pracę — „Jak chcemy żyć". Trzecią nagrodę jury konkursu przyznało Natalii Iwaszkiewicz ze „Sztandaru Młodych" za reportaż — „Dookoła Siry".

Wszystkie najlepsze prace ukażą się w formie książkowej nakładem Instytutu Wydawniczego CRZZ.

NOWA SREBRNA MONETA 200-ZŁOTOWA

Jak informuje Narodowy Bank Polski od 10 lipca br. rozpoczyna się wprowadzanie do obiegu nowej monety 200-złotowej, emitowanej dla upamiętnienia 30 rocznicy zwycięstwa nad faszyzmem. Moneta wykonana jest ze srebra próby 750/1000, według projektu Stanisławy Wątróbskiej. Na monecie znajdują się profile żołnierzy polskiego i radzieckiego, symbolizujące braterstwo broni we wspólnej walce o pokonanie faszyzmu.

Ze względu na ograniczoną wielkość emisji tych monet, będą one udostępnione załogom uspołecznionych zakładów pracy, którym nadano wysokie odznaczenia państwowe. Monety wydawać się będzie na wniosek takiego przedsiębiorstwa przy podejmowaniu pieniędzy na wypłatę wynagrodzeń.

OKO NA GOSPODARKĘ

ODCHUDZAJMY SIĘ?

Całkiem niedawno znalazłem się w gronie ludzi bardzo ściśle, zawodowo i sercem związanych z budownictwem. I jak to zwykle w takich towarzyskich spotkaniach braci Polaków bywa, z miejsca zabrano się do „naprawiania Rzeczypospolitej". W pewnym momencie jeden z obecnych chcąc tym argumentem podeprzeć lansowaną przez siebie tezę, zauważył:

— Mówcie co chcecie, ale w dziedzinie zużycia cementu jesteśmy bezwzględnie w światowej czołówce, i o jakimś nadrabianiu dystansu nie może być mowy!

Nikt jakoś nie podjął tego tematu, choć rękawica została rzucona z myślą o rozpętaniu dalszej dyskusji. Ba, ale o czym tu debatować z takim obkutym w liczbach facetem, jeśli za nim rzeczywiście stoi owo bodaj trzecie miejsce w świecie, które zajmujemy pod względem zużycia szarego proszku, licząc na każdy tysiąc mieszkańców naszego kraju. Okazuje się jednak, że trzeba i to bardzo było. Boże broń, by podważać rzetelność podanej informacji. Chodzi o coś zupełnie innego, a mianowicie, czy rzeczywiście akurat tym właśnie wskaźnikiem powinniśmy się chwalić, traktować go jako jeszcze jeden dowód rozpędu.

Otóż — w pewnym sensie, z pewnością tak jest, bo przecież budujemy jak Polska długa i szeroka, ale... Przypadek sprawił, że przed paroma dniami zetknąłem się z człowiekiem, który wraz z kilkoma innymi specjalistami przebywał z oficjalną wizytą w Finlandii, by zapoznać się z metodami pracy, techniką stosowaną przez tamtejszych budowlanych. Rozmawialiśmy głównie o mieszkaniach, o tym jak się je w Finlandii projektuje i buduje, z jakich materiałów powstają tamtejsze „M-ileś", gdy niespodziewanie wypłynęła na stół kwestia pozornie nie mająca nic wspólnego z tematem:

— To wszystko jest tam jakieś takie lekkie. Dotyczy to również zakładów przemysłowych, może nawet przede wszystkim. Nic z tych olbrzymiastych hal ulanych z ogromnych ilości cementu zamienionego w beton. Nowoczesna w funkcjach technicznych i ekonomicznych konstrukcja, to lekkie elementy dające się szybko zmontować, ale w razie potrzeby równie prędko „rozkręcić", by przenieść w inne miejsce. Budowa takiego zakładu to nie kwestia lat, ale miesięcy i produkcja rusza z kopyta...

No cóż, w tej dziedzinie i my zbieramy pierwsze doświadczenia, czego dowodnym przykładem jest choćby owa lekka bryła proszkowni mleka w pobliżu Radomska. No tak, ale ciągle są to jeszcze przykłady, a reguła...

Słowem — lekko to szybko, tanio, a jak to utrzymują ci co takie budownictwo widzieli — równie efektywnie co efektownie. W sumie: usiłowałem przemycić tutaj tezę, że nie każda czołówka warta jest zachodu. W tym przekonaniu nie jestem zresztą, jak się okazuje, odosobniony, a w dodatku mam również współwyznawców teorii potrzeby, i to pilnej, „odchudzenia", niektórych szczególnie, dziedzin naszej krajowej wytwórczości. To właśnie oni zarządzili, by w 1800 zakładach całego kraju przeprowadzono gruntowny przegląd konstrukcji wyrobów oraz technologii wytwarzania, a wszystko to, by choćby nieco uszczknąć ich wagę.

Czy gra warta jest przysłowiowej świeczki?

Zwolennicy teorii „odchudzania" uważają, i mają na to konkretne wyliczenia, że nasze maszyny oraz krajowe urządzenia są ciągle o jakieś 10—20 procent za ciężkie. Niepotrzebnie zużywamy wiele surowców i materiałów, co nie jest wcale aprioryczną tezą, lecz uogólnieniem choćby takiego faktu całkiem świeżo ujawnionego przez „Życie Warszawy". Otóż: w ubiegłym roku nasze krajowe zakłady dostarczyły do hut ponad 800 tys. ton wiórów powstałych przy skrawaniu metali. Tyle trafiło ponownie do hutniczych pieców, a jaka część zmarnowała się, ile zbytecznie utkwiło w za ciężkich konstrukcjach? Pole do działania jest bardzo rozległe i sądzę, że z całą pewnością nie ogranicza się do owych 1800 wybranych przedsiębiorstw, czego przykładem może być choćby budownictwo. Bo nie tylko metal jest cennym materiałem.

Tylko — traktując swój komentarz jako rozmowę z [illegible] mi — proponując im właśnie coś, co uważam za kolejny bodziec do rozwijania społecznego instynktu ekonomicznego, racjonalizowania metod naszego gospodarowania, nie mogę się powstrzymać od pewnej uwagi: obyśmy się przypadkiem nie rozhulali w drugą stronę. A bywało, bywało!

Padło tutaj jednak słowo racjonalizacja. Zwykliśmy je łączyć z pewną formą działalności technicznej, dającej w efekcie udoskonalenie jakiegoś wyrobu bądź procesu produkcji. A jakże warto byłoby rozciągnąć jego działanie na inne dziedziny naszego życia — nie tylko ściśle wytwórczego. Jeśli bowiem racjonalizowanie znaczy tyle samo co udoskonalanie, to znowu szmat roboty przed nami. Również w dziedzinie przełamywania pewnych nawyków, sposobów myślenia, może nawet postaw.

Strzelam — jak się to mówi — z „grubej rury"?

Ależ nie! Już się tłumaczę i uzasadniam to swoje stanowisko.

Istnieje, słuszny moim zdaniem, pogląd, że dystans, jaki dzieli nas od niektórych innych krajów wysoko rozwiniętych, daje się zauważyć już nie tyle w technice, co w organizacji zarówno samej pracy, jak i metod produkowania i kierowania tymi procesami. Stąd też wziął się projekt powołania do życia w naszym kraju specjalnego „przedsiębiorstwa" mającego za cel swojego działania nic innego, jak tylko doradzanie, organizowanie pracy szczególnie w zakładach nowo wybudowanych bądź gruntownie zmodernizowanych. W tym miejscu przypomnijmy, że na każdych 10 fabryk, aż 4 wybudowaliśmy w trzech ostatnich latach. No, ale to już w charakterze swoistej „przystawki" do podstawowego menu, bowiem jak tego dowiodła pewną dyskusja przeprowadzona w gronie wybitnych specjalistów, którą zorganizował tygodnik „Postęp Techniczny — Innowacje", przemysł ciągle nie wykazuje właściwej, no i chyba niezbędnej, chłonności na nowatorstwo organizacyjne. Przyczyny są z pewnością rozmaite, ale czy przypadkiem za główne nie należy uznać opory wynikające z obawy, że lepsza organizacja to konieczność zwiększonego wysiłku intelektualnego, ryzyka, innego „ustawienia" się do obowiązków, do pracy, nie tylko ujawnienia wszystkich możliwości i rezerw, ale ich wykorzystania.

Powiecie — ludzie są ludźmi...

No cóż. I stąd wszystko to nie jest szukaniem dziury w całym, lecz — no właśnie: tyle już przecież zrobili, ci sami ludzie.

KRZYSZTOF POGORZELEC

TELEWIZJA

CZWARTEK, 10. VII.

Progr. I. godz. 20.20 **„Strach ma wielkie oczy"** — film produkcji angielskiej. Dreszczowiec o tajemniczym przestępcy mordującym kobiety.

— godz. 21.35 **Festiwal Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu.** Koncert Inauguracyjny. Część I koncertu ma charakter rocznicowy, część II — rozrywkowy. Udział biorą m.in. zespoły „Desant", „Radar", „Eskadra", „Flotylla".

PIĄTEK, 11. VII.

Progr. I. godz. 17.00 — **„Sezam"** — Ciekawa inicjatywa opolskiego ZURiTu, kłopoty łódzkiej Wessy z dotrzymaniem umów, dotyczących zaopatrzenia rynku w plecaki, porady — jak i gdzie kupić wygodny i piękny biustonosz — oto główne tematy omawiane w kolejnej edycji magazynu pod redakcją **Jerzego Bindera.**

— progr. I. godz. 18.35 oraz 21.35 **Festiwal Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu.** Koncert ten nosi tytuł **„Melodie Bratnich Anten"** i wypełnią go piosenki w wykonaniu czołowych piosenkarzy państw socjalistycznych. Wśród polskich wykonawców ujrzymy: Reginę Pisarek, Joannę Rawik, Halinę Frąckowiak, Irenę Jarocką, Bernarda Ładysza.

— godz. 21.25 **„Panorama"** — magazyn Naczelnej Redakcji Publicystyki.

SOBOTA, 12. VII.

Progr. I. godz. 20.20 **„Wielki sen"** — film z interesującej serii przedstawiającej znakomitego aktora **Humphreya.**

NIEDZIELA, 13. VII.

Progr. I. godz. 10.30 **„W starym kinie".** — Tym razem znana komedia Rene Claira pt. **„14 lipca".** Film ten został zrealizowany w 1932 roku. Akcja toczy się w czasie uroczystości związanych ze świętem narodowym Francji.

— progr. I. godz. 20.30. **„Podpalacze północy"** — kolejny odcinek **„Nowych przygód Vidoqa".**

— progr. I. godz. 21.25 — **Festiwal Piosenki Żołnierskiej** — Koncert galowy pt. **„Złoty Pierścień".** Ostatni festiwalowy wieczór.

PONIEDZIAŁEK, 14. VII.

Progr. I. godz. 20.20 **„Opowieści starego Arbatu".** Dramat Aleksego Arbuzowa w reżyserii Józefa Słotwińskiego. Udział biorą: Czesław Wołłejko, Janusz Kłosiński, Stanisława Celińska, Olgierd Łukaszewicz, Aleksander Sewruk, Witold Dębicki.

— progr. I. godz. 22.05 **„Mozaika z Izabellą Nawe"** — fresk muzyczno-baletowy, przedstawiający dorobek artystyczny tej znanej wokalistki. Reżyseria — Krzysztof Łopalewski.

WTOREK, 15. VII.

Progr. I. godz. 9.45—13.00 i potem 20.25—21.25 **STUDIO SOJUZ—APOLLO.** Zapewne wszyscy od tego dnia śledzić będziemy wszelkie wiadomości, transmisje ze wspólnego lotu kosmonautów radzieckich i amerykańskich.

— progr. I. godz. 17.30 **„Wędrówki Słowian"** — program z cyklu **„Fakty, opinie, hipotezy",** którego tematem są badania dotyczące przemieszczania się plemion słowiańskich na terenie Europy. W dyskusji udział wezmą m.in.: doc. **Tadeusz Wasilewski,** prof. **Gerard Labuda,** prof. **Henryk Łowmiański.**

— progr. I. godz. 21.25 **„Rancho w dolinie"** — kolejny odcinek nowego serialu w tvp.

ŚRODA, 16. VII.

Progr. I. godz. 20.20 **„Kozi róg"** — film fabularny prod. bułgarskiej, prezentowany w Kinie Interesujących Filmów. Dramat historyczno-przygodowy, którego akcja dzieje się w XVII-wiecznej Bułgarii. W 1972 roku film ten (w reżyserii Metodego Antonowa) otrzymał nagrodę w Karlovych Varach. Znakomitą kreację stworzyła, młoda aktorka — Katia Paskalewa, grająca dziewczynę, którą ojciec — góral wychowuje jak mężczyznę, by kiedyś pomściła śmierć matki.

Uwaga: Zastrzega się prawo zmian.

PODRÓŻE NAJBLIŻSZE

JAK CZYTAĆ GAZETY?

Przeczytałem właśnie gazetę nie zdając sobie z tego sprawy, że to w pewnych wypadkach bardzo szkodliwy nałóg. Doczytałem się, że nam bardzo ładnie funkcjonują koleje państwowe (o ajencjach ani słowa), pociągi chodzą prawie jak szwajcarskie zegarki. Miło to przeczytać, w końcu właśnie teraz miliony obywateli korzystają z usług PKP, szukają dobrego wypoczynku w rozmaitych częściach kraju — górale na morzem, wilki morskie w górach.

Zachęcony świetną opinią skorzystałem i ja z usług kolejowych. Podróż miała być krótka, wszystkiego 135 kilometrów, z Łodzi do Warszawy, a jak bóg da to i z powrotem. Wyjechałem punktualnie, przyjechałem co do minuty, zachwycony rzetelnością dziennikarza, który sprawność naszej kolei żelaznej uwypuklił.

Pomyślałem sobie tak — skoro przyjechałem to i wrócę, znalazłem się więc z biletem w kieszeni na Dworcu Centralnym w stolicy. Kiedyś to ten dworzec będzie ostatnim krzykiem mody i wygody, na razie jednak nie ma na czym usiąść, wszędzie kupy piasku i cementu, zwoje drutów, porzucone deski, stosy cementowych belek, żadnego oparcia dla zmęczonego ciała, a na gwóźdź nadziać się łatwo. Wokoło nieprzebrane tłumy, stłoczone, ociekające potem, ale zdyscyplinowane i cierpliwe. Wszyscy pewnie czytali gazetę. Może tylko dzieci, jak to one, wołały daremnie, że chciałyby siusiu, no i starsi trochę jakby nie wytrzymywali, a tor idealnie pusty, ani śladu pociągu. W godzinach popołudniowych, między szesnastą z minutami i siedemnastą z minutami odchodzą z tego właśnie dworca trzy pociągi ekspressowe, dalekobieżne i jeden pośpieszny, na który ja czekałem, trzymając gazetę pod pachą.

Początkowo nic nie zapowiadało burzliwych wydarzeń. Spikerka oznajmiła nienaganną, ciepłą polszczyzną, opóźnienie pociągu pierwszego w kolejce. Był to „Lech", odchodzący do Poznania, Szczecina i Zielonej Góry, a więc pociąg dla wczasowiczów. Dowiedzieliśmy się również, że skoro „Lech" nawalił, ciężko mu było przekroczyć Wisłę, to i mój pośpieszny także się opóźni. W porządku, bywa tak czasem na kolei. „Lech" dotrajdał się jakoś, elegancka spikerka poprosiła pasażerów nieco wcześniej, żeby się ustawiali na rozmamłanym peronie według sektorów, znaczy — odpowiednio do numerów wagonów, a miejsc wolnych nie ma. Ludzie byli pewni, że wszystko gra jak należy, zaczęli się więc ustawiać sektorami. Tyle tylko, że dzieci zaczęły rodzicom ginąć, ślicznej dziewczynie na moich oczach złamano wiosło, próbowano go użyć jako kładki do okna nabitego po brzegi pociągu. Ktoś twierdził rozpaczliwie, że zgubił walizkę, ktoś mniej pechowy — żonę, która krzyczała, że jest obrażona i nie jedzie, jakby to miało jakiekolwiek znaczenie.

„Lech" w końcu odjechał, sporo ludzi zostało, ale ten mój pośpieszny i tak nie mógł przybyć na dworzec, ponieważ spóźnił się następny ekspress, mianowicie „Opolanin". Spikerka poprosiła uprzejmie, żeby ludzie zechcieli się ustawiać sektorami, a poza tym nic nowego, nie ma miejsc ani miejscówek. Pasażerowie wierzyli jeszcze w te sektory, może zresztą chcieli pożyć trochę w Europie, więc znowu próbowali się ustawić. Rozdzielono z miejsca starą parę, która przeżyła zgodnie multum lat, a pani Rodowicz, która wraz z gitarą jechała na festiwal do Opola i wszystko miała z pewnością załatwione prócz normalnej drogi do przedziału, nawoływała głośniej niż zwykle i chyba wyżej, co wskazywało na jej niewykorzystane dotąd rezerwy.

„Opolanin" odjechał, myślałem więc wachlując się gazetą — teraz ruszy mój pośpieszny. Ale nie ruszył, spóźnił się bowiem „Górnik", trzeci z kolei ekspress i trzeba go było jakoś wyprawić w ten niepewny świat. Spikerka, jak nietrudno się domyśleć, poprosiła, żeby pasażerowie ustawiali się sektorami, a miejsc brak. Zwątpienie jednak ogarnęło masy klientów PKP, stracili wiarę i wcale nie chcieli się więcej ani w prawo, ani w lewo, szturmowali drzwi i okna jak komu popadło. Nie mogłem oprzeć się przekonaniu, że wepchnięto do środka pozostałych na peronie pasażerów „Lecha" i „Opolanina", a może i moich towarzyszy niedoli z miasta Łodzi. Zawsze gdzieś się zajedzie.

Po godzinie spikerka zapowiedziała mój pociąg dodając uprzejmie, że z przyczyn technicznych nie będzie on pośpieszny, ale zwykły. Z prośby o ustawianie się według sektorów zrezygnowała. Rozpoczął się ostatni szturm, bo ten do Łodzi także był wyładowany po brzegi. Wciśnięto mnie do wagonu bufetowego. Część ludzi trzymała obie ręce w górze, ale to nie przypominało wojny, w rękach dzierżono walizki i dzieci, zapewne wskutek zwykłego braku miejsca. Pociąg ruszył z kopyta i nasza społeczność jakoś się poupychała, zajmując wszystkie możliwe pomieszczenia. Oddałem się na chwilę rozmyślaniom: oto ja, przeciętny obywatel, regularny płatnik podatków, zawarłem umowę z instytucją państwową na sumę 91 złotych 20 groszy. Z umowy wywiązałem się należycie — przeczytałem gazetę z pochwałami, i jak najlepiej usposobiony kupiłem bilet, odczekałem swoje na dworcu i zamiast pierwszą jadę drugą klasą i nie siedzę, ale stoję i nie w pośpiesznym, lecz w zwykłym pociągu, czy nie zostałem przypadkowo nabrany podobnie jak setki innych?

Długo myśleć nie mogłem, ponieważ zaczął się wielki ruch w stronę bufetu i trzeba było bez przerwy podnosić nogi, chować brzuch i odwracać w miarę możności głowę, szedł bowiem od niektórych pasażerów taki „chuch", że podrzucało człowiekiem. Piwo sprzedawano bez ograniczeń, ale przecież piwem trudno się upić na krótkim odcinku, może więc dlatego mówiono, że podobno gospodarze z WARS służą w pilnej potrzebie podgrzewaną wódką, w cenie stu złotych za ćwiartkę loco przedział. Cena, jeśli to prawda, była wysoka i wskazywała na troskę o trzeźwość pasażerów. Któż może przystać na taką cenę? Ludzie przystawali jednak, ponieważ nasz pośpieszny—uzwykłony przystawał co kawałek i nie było co z czasem robić.

Ze Skierniewic wyjechaliśmy na brawach, a to dlatego, że spikerka (prezenterzy kolejowi jakby się ostatnio poprawili) zapowiedziała odjazd pociągu pośpiesznego do Łodzi, który będzie się zatrzymywał na każdej stacji i każdym przystanku. Ludność zgromadzona na peronie zgotowała PKP owację, co nas upewniło w przekonaniu, że Skierniewice słusznie zostały miastem wojewódzkim — duża kultura i elegancja wobec ludzi zamkniętych jak sardynki w puszce. Przez otwarte okno wrzucono nawet kwiaty, pewnie za męstwo i wytrzymałość.

A od Skierniewic jechałem pociągiem — widmo. W Makowach, Pływiach, Krosnowach, Justynowach i Bedoniach witały nas tłumy. Najpierw z niejakim zdziwieniem, w końcu wśród nich także nie brakowało czytelników gazet, musieli więc dziwić się skąd taki pociąg, snujący się poza planem i poza czasem? Niestety, zdziwienie szybko ustępowało radości. Szarże pod Samosierrą czy Balaklawą niczym były wobec ataków na mój pośpieszny. Spóźnienie osiągnęło dwie godziny na 135 kilometrach.

Człowieka wszystkiego można oduczyć ale nie ciekawości. Pytaliśmy więc jeden drugiego — co się właściwie stało? Zgodziliśmy się — nic się nie stało. Po prostu w ogóle nie odjechał poprzedni pociąg z Warszawy do Łodzi, więc mój pośpieszny zamieniono na tamten zwykły, żeby było zgodnie z planem, a ten zamieni się na następny, który jest zwykły, ale będzie wobec tego pośpieszny i wszystko zagra. Jasna sprawa, tylko ludziom nie chce się chociaż trochę pomyśleć, wolą czytać gazety i wierzyć dziennikarzom, którzy dowiadują się od zainteresowanego prawdy przez telefon.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, JAN JANICKI (redaktor techniczny), WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (zastępca sekretarza redakcji).

Stale współpracują: ANDRZEJ F. GRABSKI, ANDRZEJ GRUN, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, BERNARD SZTAJNERT.

NAUKA I WARZYWA

Dalszy ciąg ze str 1

Podobnie jest z tymi, którzy zajmują się handlem i sprzedają nam koperek, pietruszkę, buraki, ogórki, pomidory i sałatę. Znacznie wyżej cenią się u nas tych, którzy handlują papierem toaletowym od tych, którzy sprzedają pietruszkę. Nic więc dziwnego, że poza słabo rozwijającymi się uprawami warzyw, kuleje również system ich rozprowadzania. Przepędza się z ulic sprzedających pietruszkę z koszyczka, ale trzyma się zamknięte „zieleniaki".

A tymczasem warzywa są tą dziedziną upraw rolnych, nad którymi w ciszy byłego pałacu prymasowskiego w Skierniewicach i na polach doświadczalnych **Instytutu Warzywnictwa** pracują ludzie nauki.

POMIDOR POD MIKROSKOPEM

Skierniewice kojarzą się najczęściej z Instytutem Sadownictwa, ale tu znajduje się od lat również kolebka polskiego warzywnictwa. Jeszcze w 1920 roku zaczęto rozwijać tutaj ośrodek naukowy, zajmujący się warzywami. Związany on był ze Szkołą Główną Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie. Po wojnie był tu oddział Instytutu Uprawy i Nawożenia, i tenże oddział przed 10 laty stał się samodzielnym **INSTYTUTEM WARZYWNICTWA**, od trzech lat z powodzeniem kierowanym przez prof. dr hab. **ZBIGNIEWA GERTYCHA.**

Instytut Warzywnictwa mieści się w dawnym pałacu prymasowskim, który dla skierniewiczan jest nie tylko zabytkiem architektury i kultury, ale również miejscem działania Koła Przyjaciół Skierniewic. Pewnego razu sam Jerzy Waldorff pomylił w „Polityce" Instytut Warzywnictwa z Instytutem Sadownictwa, postulując przy tym, aby w zabytkowym wnętrzu prymasowskiego pałacu organizować muzykowanie. Za tę pomyłkę będzie musiał srodze odpokutować, odbywając podróż do Skierniewic, aby naocznie przekonać się, co się mieści w poprymasowskim pałacu i posłuchać muzyki.

Ale to tylko dygresja. W poprymasowskim pałacu opracowuje się koncepcje i strategię rozwoju warzywnictwa w Polsce. Tutaj spotykają się praktycy i naukowcy z całego kraju, tutaj wcale nie kurtuazyjne wizyty składają naukowcy z Holandii, ZSRR, NRD, Francji, Danii, Belgii, USA, Japonii i Australii, a także wszystkich krajów socjalistycznych. Tutaj też prowadzi się badania między innymi nad fizjologią roślin. Tutaj poznaje się między innymi „zwyczaje i obyczaje" wirusów, aby użyć ich później do zwalczania szkodników. Rozważa się na przykład możliwość szczepienia pomidorów nieszkodliwymi dla rośliny i człowieka wirusami, ale za to, zaciekłymi wrogami innych wirusów, które wywołują choroby roślin.

Instytut Warzywnictwa — o dziwo — zajmuje się też **grzybami.** Opracowano już agrotechnikę i technologię przemysłowej uprawy czterech grzybów. Dla **pierścieniaka,** którego do tej pory hodowano najwyżej w ogródkach działkowych. Dla **boczniaka ostrygowatego,** który rośnie na pniach starych drzew i jest bardzo smacznym grzybem, traktowanym u nas jednak jako grzyb niejadalny. Grzyby te można hodować w workach foliowych, wypełnionych specjalnie przygotowaną słomą. Pierwsze grzyby z hodowli w Skierniewicach mają być sprzedawane w łódzkim „CENTRALU". Po trzecie — dla **pieczarki,** która niczym nie różni się od tej powszechnie uprawianej, a którą można hodować w warunkach, kiedy nie kontroluje się temperatury powietrza. Po prostu — pieczarka ta lubi ciepło.

I po czwarte — dla **szitake,** bardzo popularnego grzyba w Japonii. Grzyb ten robi w tej chwili światową karierę. Przypomina nieco naszą popularną kurkę, jest grzybem bardzo wydajnym i smacznym.

Chciałabym tu podkreślić, że są to propozycje p r z e m y s ł o w e j uprawy grzybów. A więc na wielką skalę. Jest to propozycja niezwykle — przynajmniej w moim przekonaniu — niezmiernie interesująca i korzystna. Grzyby u nas powszechnie zbiera się w lasach. Ale — jak twierdzą doświadczeni zbieracze — jest ich coraz mniej. Hoduje się natomiast, i to przez drobnych hodowców, jedynie pieczarkę. Uzupełnienie tej hodowli przez proponowane grzyby ze Skierniewic znacznie urozmaiciłoby nasze stoły i mielibyśmy kilka odmian grzyba przez cały rok.

Tylko, kto się tym zajmie? Kto skorzysta z propozycji Instytutu Warzywnictwa?

BOGDA MADEJ

POLUBIĆ WARZYWA

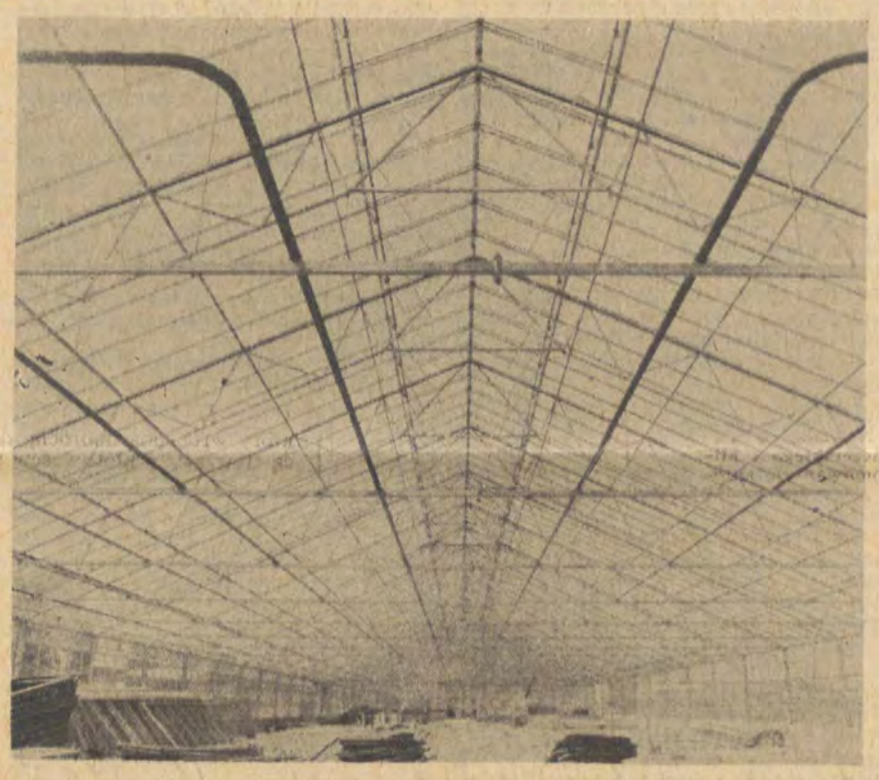

CUDA POD FOLIĄ

A propozycji Instytut Warzywnictwa ma wiele. Przyjeżdżają tu praktycy, przede wszystkim z PGR i spółdzielni produkcyjnych. W mniejszym stopniu indywidualni rolnicy. A Instytut Warzywnictwa ma dla nich również propozycje. Uprawy warzyw można bowiem znacznie zintensyfikować przy pomocy... folii..

Przede wszystkim więc f o l i a p e r f o r o w a n a, którą można przykrywać warzywa na polu. Chroni znakomicie przed przymrozkami i przyśpiesza wegetację. W Instytucie Warzywnictwa widziałam ogórki uprawiane pod folią i bez. Różnica była ogromna. Jak mi mówiono — warzywa pod folią mogą skutecznie obronić się przed mrozem dochodzącym do minus 8 stopni. Wegetacja warzyw jest natomiast szybsza o 2 tygodnie.

Poza tym t u n e l e f o l i o w e, duże i małe. Nie wszystkie wprawdzie odmiany warzyw nadają się do uprawiania w tunelach foliowych, ale dla tych, którym to służy, ciepło zatrzymywane pod folią sprzyja wegetacji. W Skierniewicach wypraktykowano też, że znaczną rolę odgrywa... kolor folii. Na przykład na tunele najlepiej nadaje się folia żółta.

F o l i ą można też wyścielić ziemię w szklarniach, aby odgrodzić próchnicę od podłoża skażonego szkodliwymi drobnoustrojami i chwastami. Z f o l i i robi się też pierścienie, w których sadzi się rośliny. Wygląda to mniej więcej tak, jakby pomidor rósł w torebce foliowej. Taka ochrona z folii również służy odgrodzeniu ziemi od podłoża, pozwala skuteczniej nawadniać ziemię, parować, a także ją nawozić.

Propozycje Instytutu Warzywnictwa stosowania folii przy uprawie warzyw są coraz częściej przyjmowane. Rocznie przybywa około 150 ha upraw z zastosowaniem różnych form folii, ale tutaj wyłania się kolejna trudność. Przemysł, produkujący folię nie potrafi zaspokoić rosnącego na nią zapotrzebowania.

MASZYNA DO KAPUSTY

Rozdrobnione, tradycyjne rolnictwo nie potrzebowało maszyn, bo nie mogło ich stosować. W Polsce są tylko dwa kombajny do zbierania kapusty z pola, a jeden z nich znajduje się w Skierniewicach. Rolnicy z pobliskich wsi zwrócili się do **IW** z prośbą o wypożyczenie im takiego kombajnu. Instytut Warzywnictwa wyraził zgodę i kombajn pojechał pracować na indywidualnych polach. Ale, że kombajn jest własnością naukowców, postanowili skorzystać z sytuacji i przypatrzyć się bliżej jego pracy w innych niż do tej pory warunkach. Okazało się, że kombajn więcej czasu i mocy zużył na dojeżdżanie do poszczególnych pól niż na zbieranie kapusty.

Ten przykład dobitnie ilustruje sytuację, jaka instnieje w rolnictwie. Rozdrobnienie nie sprzyja mechanizacji prac. A bez mechanizacji nie ma wzrostu wydajności i — co więcej — nie ma odpowiedniego przygotowania przemysłu, aby móc służyć ogrodnikom, potrzebnymi maszynami w chwili, gdy połączą swoje pola dla prowadzenia zespołowych upraw. Tak więc, prototypy maszyn dla warzywnictwa powstają w Instytucie Warzywnictwa, choć nie on powinien się tym zajmować. Podobnie jest i w Instytucie Sadownictwa. Oba instytuty połączyły więc swoje wysiłki, tworząc jeden wspólny warsztat konstrukcyjny. Krótkie serie przemysłowe maszyn opracowanych w tym warsztacie podjął się wytwarzać **POM w Rawie Mazowieckiej.** W pracowni Instytutu Warzywnictwa przerabia się na przykład kombajn do buraków na kombajn... do marchwi. Jak przeróbka wyjdzie, to takie kombajny będzie produkować POM w Rawie Mazowieckiej.

Instytut Warzywnictwa musi myśleć o przyszłości — taka jest jego rola. A przyszłość rysuje się nie najlepiej. Przede wszystkim dlatego, że jeżeli obecnie około 95 procent produkcji wszystkich warzyw dają indywidualni rolnicy, to za kilka lat — według szacunku — produkcja ta zmniejszy się o około 30 procent. Rolnictwo — jak wiadomo — starzeje się, a uprawa warzyw wymaga wielkiego nakładu sił. Coraz mniej rolników będzie więc zajmowało się warzywami. Aby zatem ten spadek produkcji zrównoważyć, trzeba grupować ziemię pod zespołową uprawę. Wtedy niezbędne są maszyny, a maszyn — jak już wspomniałam — nie ma. Przemysł nie jest przygotowany do ich produkcji. Instytut Warzywnictwa — zastępujący obecnie przemysł maszyn rolniczych — nie jest w stanie przygotować przecież tylu prototypów maszyn, jakie będą potrzebne w najbliższym czasie.

Sytuacja jest o tyle jeszcze bardziej skomplikowana, że jak oblicza się, zjadamy około **100 kg warzyw** rocznie, a zakładamy, że pod koniec przyszłej pięciolatki będziemy zjadali rocznie około **120 kg.**

JAKIE JEST WYJŚCIE?

Co zatem robić, abyśmy mogli rzeczywiście jeść więcej warzyw?

Propozycji jest kilka.

W Instytucie Warzywnictwa uważa się, że trzeba przede wszystkim stworzyć „ciąg produkcyjny", który zapewniłby nam warzywa przez cały rok. Stworzyć zatem trzeba system: szklarnie — tunele foliowe — pola — szklarnie — mrożonki i znów od początku. Dla produkcji warzyw w takim układzie potrzeba wielkich gospodarstw, zajmujących się warzywami. Powinny to być zarówno spółdzielnie produkcyjne, PGR jak też zespoły indywidualnych rolników. Poza tym dla takiej produkcji warzyw potrzeba nowych intensywnych odmian i **IW** prowadzi badania nad takimi odmianami. Posiada już przygotowane nowe odmiany cebuli, wczesnej kapusty, pomidorów, ogórków, fasoli.

Proponuje też wprowadzenie nowych warzyw: **skorzonery, cukinii, oberżyny** czyli gruszki miłosnej i **polskiej papryki.** Przygotowano nie tylko nasiona tych warzyw, ale i podstawowe przepisy ich stosowania. Skorzonera podobno jest już w handlu, a nawet eksportujemy ją, ale przyznam się, że nigdzie jej nie widziałam.

Instytut Warzywnictwa prowadzi też badania nad warunkami, w jakich szybciej przebiegałaby wegetacja warzyw. Wykorzystano do tego torf spod Bełchatowa. Budowa kopalni węgla brunatnego, a także ciepło z kotłów elektrowni pozwoli stworzyć tam wielkie, 100-hektarowe gospodarstwo ogrodnicze. W szklarniach — które zajmą 24 ha gruntu i będą dwukrotnie większe od tych, które wybudowano w Żdżarach — i na polach tego gospodarstwa będzie się z powodzeniem stosować torf. Uprawiane już eksperymentalnie warzywa na torfie przynoszą pozytywne rezultaty. Bada się również eksperymentalnie uprawy warzyw na... węglu brunatnym. Jest to uprawa w kontenerach plastikowych. Pomyślne zakończenie tych badań pozwoliłoby całkowicie zmienić sposób budowy szklarni. W stosowanych u nas szklarniach problemem jest wymiana podłoża, w którym przy dużej wilgotności i cieple szybko rozwijają się mikroorganizmy szkodliwe dla roślin. Praktycznie trzeba podłoże często parować a także wymieniać je co 3 lata. W szklarniach z kontenerami pełnymi węgla brunatnego, odpowiednio przygotowanego oczywiście, można byłoby budować podłoże oetonowe, a wymieniałoby się tylko zawartość kontenerów. Ale to — jak na razie — jeszcze daleka przyszłość.

W Instytucie Warzywnictwa powstaje też wielka — przemysłowa w całym tego słowa znaczeniu — szklarnia budowana według duńskich wzorów. Jest ona nowocześniejsza ze wszystkich, jakie do tej pory w Polsce wybudowano. Doświadczenia, jakie przeprowadzi się w tej szklarni, określą zakres i wielkość ich stosowania w naszym ogrodnictwie.

— **Bardzo wielką wagę** — powiedział na zakończenie mojej wizyty w Skierniewicach prof. Zbigniew Gertych — **przywiązujemy do tzw. badań podstawowych. Przewidujemy bowiem, że nadejdzie taki moment, kiedy wyczerpie się wszelkie możliwe sposoby intensyfikacji uprawy warzyw. Wtedy o dalszym skoku w rozwoju warzywnictwa zadecyduje inżynieria genetyczna. Do tego momentu musimy dobrze poznać rośliny i wszystko, co jest z nimi związane, aby móc tworzyć coraz lepsze, wydajniejsze odmiany.**

Ale to też jest daleka przyszłość. Jak na razie nasze ogrodnictwo musi uporać się z innymi progami i barierami, abyśmy mogli spełniać polecenie lekarzy i jeść dużo warzyw. Bo to witaminy, bo to zdrowie.

Fot. WŁODZIMIERZ PARYS

NIE TYLKO HISTORIA

GODNE POCHWAŁY

Jak się chce, to zdążyć można. W drugim dniu międzynarodowej konferencji naukowej, poświęconej rocznicy wydarzeń rewolucyjnych w Łodzi w 1905 r., jaka odbyła się w naszym mieście, w witrynach księgarń widniała czerwona, rzucająca się w oczy okładka, a na niej tytuł: **„Rewolucja 1905—1907 w Łodzi i okręgu".** Wydawnictwo Łódzkie, które tylekroć „nie nadążało", tym razem spisało się znakomicie: książka znalazła się w handlu księgarskim akurat wtedy, kiedy winna się była zaleźć. Radbym widział w tym oznakę zwrotu ku lepszemu, chociaż nadal nie mogę się doczekać wydania zapowiedzianej przez łódzką oficynę wydawniczą innej pracy, poświęconej rewolucji 1905 r., która mogłaby pewnie się teraz właśnie ukazać.

Mamy więc przed sobą ładnie, na dobrym papierze wydany tom studiów i materiałów historycznych, opracowany pod redakcją **Barbary Wachowskiej.** Wśród autorów, którzy zaprezentowali tu swoje prace, widnieją nazwiska historyków łódzkich średniego i młodszego pokolenia, książka stanowiła bowiem okazję nie tylko do zaprezentowania wyników badań, prowadzonych przez znanych już z licznych publikacji historyków, ale i badaczy najmłodszych, którzy dopiero co, przed rokiem bądź niewiele wcześniej, zasygnalizowali swoje umiejętności i osiągnięcia.

Mimo całej życzliwości, z jaką czytam ten interesujący tom nie mogę oprzeć się wrażeniu, że tytuł, którym go opatrzono nie w pełni odpowiada jego treści. Bo tytuł zapowiada wiele, a jego hasłem jest słowo rewolucja, zaś dzieło dotyczy wielu ważnych problemów z czasów rewolucji i z lat rewolucji, natomiast o niej samej jest bardzo mało. Oczywiście nie na liczbę stron, bo zamykające całość wydawnictwa kalendarium rewolucji 1905—1907 r. w Łodzi jest wcale obszerne, ale na swoją naukową wagę. W książce opatrzonej tytułem **„Rewolucja 1905—1907 w Łodzi i okręgu"** po prostu mało jest rewolucji, poza wykazem historycznych faktów, z których większość została już dawno zinwentaryzowana i opisana, zinterpretowana przez historyków. O ileż byłoby lepiej, gdyby zamiast tego kalendarium, które można by wydać z krótkim wstępem w osobnej broszurze, znalazło się syntetyczne opracowanie dziejów rewolucyjnych wydarzeń w Łodzi, takie, które by umieszczało je zarówno w dziejach polskich walk rewolucyjnych, jak i w szerokim kontekście wydarzeń międzynarodowych. Za motto do takiej pracy mogłoby posłużyć znane sformułowanie Włodzimierza Lenina o międzynarodowym znaczeniu wydarzeń łódzkich. Brak takiego lub podobnego syntetycznego studium jest tym bardziej dotkliwy, że — co tu ukrywać — jest w łódzkim środowisku naukowym kilku badaczy, którzy mogliby się tego rodzaju pracy podjąć, a rezultat byłby pomyślny.

Cechą charakterystyczną prac zebranych w omawianym tomie jest ich dobre osadzenie w materiale źródłowym. Dlatego też mamy przed sobą studia i materiały wartościowe, przynoszące nowe ustalenia faktyczne a także nowe interpretacje szczegółowych zagadnień w jakie obfituje problematyka dziejów rewolucji 1905 r. nie tylko w Łodzi. Wydawnictwo (nie poprzedzone żadnym wstępem, ale może to i lepiej, skoro tyle mamy już stereotypowych wstępów) rozpoczyna studium **Pawła Samusia** o rozwoju organizacyjnym SDKPiL w Łodzi w latach rewolucji, po którym następuje bardzo interesująca praca **Kazimierza Badziaka** o łódzkiej burżuazji w tych latach. Ci sami badacze — tym razem wspólnie — opracowali analizę ruchu strajkowego w Łodzi w 1905 r., problem szczególnej wagi i dotyczący bezpośrednio przebiegu wydarzeń rewolucyjnych, chociaż nie mogący rzecz jasna uchodzić za ich pełne przedstawienie. Rewolucja bowiem, to nie tylko strajki.

Mieczysławowi Bandurce zawdzięczamy dwa studia: pierwsze o walce o oświatę i polskie szkolnictwo, drugie zaś o formach walki klasowej na wsi w okresie 1905—1907, oba doskonale osadzone w materiale źródłowym. Na szersze wody polityki światowej przenosi nas praca **Andrzeja M. Brzezińskiego** o stanowisku mocarstw europejskich wobec wydarzeń rewolucyjnych w Polsce (nie tylko w Łodzi, rzecz jasna) oparte o publikacje dokumentów oraz prasę; trudno tu czynić zarzut niewyzyskania materiałów archiwalnych ze wszystkich stolic świata. Tak dobrze nie jest, aby dla napisania artykułu można było wysłać autora w wielomiesięczną podróż po Europie, a zresztą nie zawsze tak być musi, skoro otrzymaliśmy studium interesujące, świadczące o szerokich echach wydarzeń w Polsce takimi odbiły się one w Europie, pracę dobrze prezentującą także i samego autora.

Na koniec ważna rozprawa **Barbary Wachowskiej** o politycznych tradycjach rewolucji w Łodzi w dobie międzywojennej, ukazująca żywotność tradycji walki klasy robotniczej o należne jej prawa w czasach późniejszych, w których bynajmniej nie brakowało drastycznych społecznych i politycznych konfliktów. Interesujące to studium stanowiłoby doskonałe zamknięcie całości; jest nim zresztą, bowiem zaraz po nim następuje owo wspomniane już kalendarium, pracowity, ale przecież mimo wszystko surogat naukowego opisu i oceny wydarzeń rewolucyjnych, o więcej niż regionalnym, więcej niż ogólnopolskim znaczeniu. Nie chcielibyśmy jednak zbyt wiele: to, co otrzymaliśmy, jest wartościowym wkładem do nauki, a jednocześnie interesującym czytelnika zbiorem studiów. Tylko o zbyt szerokim tytule — zapowiadającym jeszcze więcej, niż jest naprawdę.

LEKTOR

TERESA LECHOWSKA

Z WŁASNEGO PODWÓRKA REPORTAŻ SUBIEKTYWNY

(FRAGMENTY)

Wstyd się przyznać, ale im milsze człowieka nachodzą wspomnienia, tym bardziej mieszczuchowate. Bucha żarliwy zapach białego chleba z prywatnych piekarenek, roztapia w oczach i pod oczami świeczki mrozu. W pełni lata m r o ż ą z a g r o ż o n e migdały znakomite lody czekoladowe z szumnej dwuosobowej firmy pod tytułem „Italia”. (Tę zbitkę fonetyczno-laryngologiczną podkreślam umyślnie, mam ochotę dodać do tego g r y l a ż, „cukiehki ghrylażowe”, bo tak się gołębio przez grr grr kojarzą wyrazy z dzieciństwa.) Z wystawy „od rzeźnika” uśmiecha się ryj gipsowego prosiaka, pod którego popiersiem różnobarwne mozaikowe rolady i salcesony świadczyły, iż wytwórca miał nie tylko tworzywo i czas, ale i estetyczny gust, i o klienta dbałość. Pamiętano jeszcze osławioną z buraków marmoladę, pastę śledziową, lebiodkę w miejsce szpinaku, świąteczny tort z fasoli i smak czarnego chleba. Nie tak znów wiele jest do wyliczenia okupacyjnych przysmaków, dlatego takie nie inne migawki uliczne zachowała pamięć.

Pączkowanie młodości czuło się w marcu, w kwietniu. Wiemy to z perspektywy i świadomości dorosłych lat, bo kto by zastanawiał się wówczas, że czuje młodość. W wiosenne wielkanocne ferie stąpało się po ulicy w lekkości własnej i powietrza tak niezwykłej, że wiadomo — coś z nami i z tym powietrzem musi się stać. I się staje. Powietrza brak, bo obok, tuż na wyciągnięcie ręki przechodzi przez deptak i kłania się ON.

Zaczesany w „jaskółkę”, w szałowych bikiniarskich skarpetkach, od których pedagodzy dostawali oczopląsu, tyle bowiem kolorów krzyczało spod modnych, wąskich i przykrótkich nogawek spodni. Był piękny, samotny i odważny. Ryzykował przeciw belfrom cała swoja opinie, czasami nawet życiorys, bo ministrowie mieli wówczas inne i większe kłopoty niż długość włosów, kolor skarpetek czy krój spodni i nie stawali w jego obronie. Nie wspierali go w tym rodzice ani organizacja. Stroił swą samotność w szkolnym lub ulicznym tłumie chociaż w jedno wyzywające bażancie piórko, często dla fasonu, dla odrębnego „ja”, które nie chciało się roztapiać w masie, a jeszcze nie mogło — z różnych względów — przystać do drugich indywidualistów, noszących na co dzień czerwonę krawaty. Jedni i drudzy rekolekcje odbywali poza kościołem. Pierwsi zachłystywali się parodniową wolnością, rozdeptywali parki i ulice i demonstracyjnie obnosili swój bunt przeciw rywalizacjom o tzw. rząd dusz, z przekory pokazywali język w obie strony i szczerze nie cierpieli tych, którzy potrafili zamieniać komeżki na organizacyjne koszule. Drudzy z namaszczoną powagą ludzi światopoglądowo dojrzałych uatrakcyjniali szkolne i pozaszkolne świetlice.

W prywatnym kalejdoskopie przeszłe zdarzenia migają w niespodziewanych układach, prowokująco. Oto chluba krajowego boksu w drodze do wieczorowej szkoły trafia na entuzjastów sportu i cumuje przy restauracyjnym bufecie o kształcie wróżącym niewątpliwe szczęście, na zakołu tzw. podkówki. Nad ranem pełen szumów sportowej sławy, chwyciwszy niczym linę ringową wątłą lipkę, wsadzoną przez młodzież w społecznym czynie, koliście kłania się publiczności i — trzask! — połowa lipki w ziemi, połowa w nieświadomej ręce. Za tym kolegium, prasa, wstyd, zawieszenie, wina, kara, zdemaskowane próby retuszu, zobowiązania opiekunów, gorycz wielbicieli — moralny wstrząs dla całego miasta. Byliśmy wrażliwi. W dwa dziesiątki lat później bezpieczny Niewiadomy zerżnie półwieczną jodłę, powali na osiedlu dąb, wytrzebi przy ulicy oba rzędy sędziwych wierzb, kasztany pamiętające styczniowe powstanie, nawet drzewa rosnące (o ironio!) na terenie planowanego ośrodka rekreacyjnego, zadusi strzeliste topole dając im tyle ziemi w asfalcie, ile słupowi z betonu — i cisza.

Z utratą zieleni, łączności z tym, co żywe, wątleje poczucie humoru. Brak na co dzień porozumiewawczego uśmiechu, który tak subtelnie potrafi przeniknąć nastrój, przeistoczyć nieufną obojętność w przychylność dla drugiego człowieka. Rzecz jasna, że śmiejemy się, ale śmiech i poczucie humoru istnieją jakby oddzielnie.

— Pani Jadzia dziś w świetnym humorze...

Stały klient zagaduje sprzedawczynię o pełnym, mokro lśniącym uzębieniu.

— Ece tam — dziewczyna łączy na chwilę szczęki — śmieję się tylko i tyle.

Śmiech, dowcip zwany niekiedy humorem, zjawia się okazajonalnie jako naturalna potrzeba i wyraz odprężenia. Bierze się też z „fajności” różnych kawalarzy, którzy zazwyczaj są ponurakami, a tylko od czasu do czasu otwierają katalog dowcipów. Poczucie humoru jako stała mobilizacja pogody ducha i umysłowego refleksu trafia się rzadko. Wyklucza je brak wewnętrznego luzu, sztywność; tyleż rozdęte poczucie własnej godności, niemal że majestatu, co złe samopoczucie społeczne, nieśmiałość i emocjonalne napięcie. Potrafi jednak wysiewać się samo, bez świadomości podmiotu, jak w owym sklepie monopolowym, gdzie znad baterii butelek pokaźna kolorowa wywieszka głosiła, że „DZIECI, KOBIETY CIĘŻARNE, INWALIDZI I STARCY OBSŁUGIWANI SĄ POZA KOLEJNOŚCIĄ.”

Skoro znów spotykamy się przy alkoholu, wróćmy do chuliganów z dawnych lat. Bywali czasem romantyczni. Kronika wykroczeń z lat pięćdziesiątych odnotowywała np. co następuje: „W nocy dnia takiego a takiego, o godzinie 23.30 ob.ob. X,Y nie bacząc na rozległe tereny parku i nowo zainstalowane ławki ulokowali się z dala od światła i oczu ludzkich, to znaczy w samym środku nocy i w samym środku klombu, na którym sadzone były prawdopodobnie czerwone pelargonie, a to w celu przekroczenia dodatkowych czynów niezgodnych z przepisami, na których bezpośrednio ich nie przychwycono”.

Chłopaki i dziewczyny ze szkolnych ław śledzili we wcześniejszych porach odmiany księżyca, nawet przy kilkunastostopniowym mrozie, uwielbiali w parku siebie oraz koncerty słowicze, spacery i postoje na drewnianym mostku, na który spływały wierzbowe strugi (młodsi przemykali się chyłkiem, żeby podglądać; wszyscy młodzi odprawiali w parku papierosowe obrzędy), przejmowali romantyczny obyczaj ojców i dziadków, a jednocześnie lubili pozorować, że są na krawędzi konfliktu ze „starymi”, z wszelką oficjalnością, blisko tej krawędzi społecznej, kiedy jest się wyjątkiem (czytaj, oczywiście, indywidualnością!), jeszcze, nie burzycielem uznawanego prawa, lecz jakby burzycielem potencjalnym. Lubili czuć w sobie ten potencjał — zadatek niebanalnych możliwości. Wiele z nich urzeczywistniło się w drugiej połowie trzydziestolecia, a ich nosiciele wyrośli na oficjalnie i nieoficjalnie uznany pożytek społeczny. Ich także nazywano „chuliganami”, bo słowo to nie zdążyło jeszcze obrosnąć w ponure treści, a takie jak wisus, urwis, hunewot — wychodziły z mody i stosować się mogły najwyżej do dzieci a nie do młodzieży w dojrzałym wieku przedmaturalnym. „łobuz”, „ulicznik” i żeńskie tego odmiany były zdecydowanie krzywdzące, za ostre, więc każdy kto zaznaczył swą temperamentną indywidualność nazywany był poręcznym słowem „chuligan”, choćby nawet połowę wakacji poświęcił Nowej Hucie. Ot, belferskie etykietki. A wyróżnić się, zwłaszcza młodym, wcale nie było łatwo.

Mój pierwszy występ na politycznej widowni dopiero co wyzwolonego miasta zaznaczył się wolnomyślnością i niepodległością charakteru, jakiemu dałam spontaniczny wyraz przebiegając bez opieki jezdnię, pełną wojskowych pojazdów. Małozębny kolega z sąsiedniej kamienicy, starszy ode mnie i jeszcze bardziej przedsiębiorczy, wyłgał wtedy od rosyjskiego żołnierza dwa cygara dla tatusia z niewoli. Cygara były na nasz gust bardzo podle, przede wszystkim nie chciały się palić, przez co zmarnowaliśmy wiele cennych zapałek. Kolega wrócił więc do tradycyjnej techniki skrętów z liści wiśniowego drzewka, pociął wyłudzone cygara na wąziuteńkie paskiniteczki i po zażyciu kopcącej mieszanki potężnie zwymiotował. Czuł się snadź mocno pokrzywdzony przez owe najtrudniejsze lata, skoro zabiegał o zbowidowską odznakę, poszukując dla dziecka wrót szerzej otwartych na studia.

W początkach swoich lat gimnazjalnych przedsiębiorczy amator nikotyny lubił razem z innymi przemknąć się w zimie, wieczorową porą do cerkwi — na koncert wokalny, zbiorową randkę i odtajanie. Cerkiewne kopuły pod czapami śniegu wyglądały dla nas tak, jak powinna wyglądać wschodnia architektura z dobrej literatury. Wokół na straży stały drzewa pewne swej krzepy i urody i ani śniły, że kiedyś niektórym odpiłuje się zdrowe wysokie ramiona. Przy drzwiach mrocznie i tajemniczo, w głębi chude płomyczki cieniutkich nielicznych świeczek; jeszcze głębiej — ukryty chór prowadzi jakiś serdeczny spór na głosy, światło sopranów mroczy jedyny, ale przepiękny bas. Ciemno i straszno pod ścianami. Oswojony z ciemnością wzrok, wydobywa z tła ścian pełgające złoto i pobladłe z wrażnia twarze dziewczyn ściągniętych tu przez chłopaków, nie raz przechwalających się odwagą wejścia w obcy, trochę niesamowity świat, dotąd dla dziewczyn niesprawdzalny. Nagle rozchylają się skrzydła drzwi od ołtarza i z głębi wynurza się złocony, potężny przez podwyższenie brodacz, i idzie wprost ku nam. „Bożeee...” — zagrzmiał po ścianach bas, a Baśka, najmłodsza i przy tym histeryczka piszczy strachliwie a nie mniej pobożnie: „Jeeezu...” I łomot za nią do wyjścia, dudnienie kilkunastu par butów i rżący galop aż do najbliższej przecznicy, chociaż nikomu za „chuliganami” nie chciało się gonić.

Liczy się gwiazdki na twarzach, lecz serca jeszcze łomocą. Co miały dla nas wymyślać biedne chłopaki, gdy czas poskąpił im szansy bohaterstwa, urodzili się grubo za późno i mogli tylko słuchać. Historia, czyny nad podziw były tuż obok, na wyciągnięcie ręki. Dzwoniły uroczyście medalami, spełniały się w toastach przy rodzinnym stole, szumiały zawadiactwem, czasami odcinały się w domu kuponem wyższej renty, czasami chodziły potejemnymi ścieżkami cierpienia po kolcach krzywdzącej niesławy; były bliskie a tak dalekie, istniały w rozmowach i gawędach znajomych ludzi; grało to wszystko w powietrzu, a przecież samemu czy samej sprawdzić się w arcytrudnej próbie — nie było okazji. Nic nie pomagały przechwałki o zachowanych z wojny rewolwerach, o zwojoch prochu dłuższych niż najdłuższe makaronowe rurki, o takim jednym granacie zakopanym w komórce za drzwiami, do których klucz ojciec nosił osobiście w kieszeni spodni. Wszystkie te bohaterskie bujdy rozwiewane by były przez sceptycyzm nielicznych podwórkowych rozsądkowców aż do przesady słuchających się taty i mamy, gdyby nie apele szkoły i gazet o czujność wobec niewypałów, gdyby nie komunikaty tragiczne, wstrząsające, niemniej jednak podnoszące rangę tajemniczych szeptów, nonszalanckich wzmianek czy chrząkliwych napomknień. Tak zginął, wyjechawszy na jedną niedzielę na wieś, Jasna Gała, najmorowszy piegus pod słońcem, przyjaciel mój serdeczny i bezpośredni przełożony, chociaż brzemię władzy w układach naszego podwórka dźwigaliśmy na równi.

Bo życie dzieci i młodzieży roiło się na podwórkach. Podwórka łączyły się w rogatki. I tak np. Bugaj przychodził na gry towarzyskie w Rynek, Przedborska i okolice łączyły się w team piłki kopanej przeciwko chłopakom z Roosevelta, bardziej prestiżowe spotkania rozgrywając przy dobrej pogodzie na neutralnym gruncie, np. na Wierzejach. Pomysłowości nie organizował wówczas żaden kierownik klubu, urzędujący d l a młodzieży w godzinach takich a takich, i d l a niej obmyślający plany, cele i środki. Tej spontanicznej samoorganizacji przeciwstawiał się jedynie czas, kurczliwość doby, zarówno w pogodę dobrą jak i w deszcz. W czasie deszczu dzieci się nie nudziły, nie znały jeszcze telewizji. Grały w karty, a jakże, trudno się wyprzeć (np. w „króla, chama i sołtysa”, „ustęp” lub „oko”), ale czytały też książki i niejeden pętelewicz z własnej ambicji i z woli nieco starszych opanowywał sztukę rozpoznawania liter i cyfr na drewnianych schodach, na poddaszu przy strychu (czyli suszarni), gdzie szkoła prywatna miała wymagania równie wysokie co państwowa. Zaprowadziła dzienniki zajęć, rubryki ocen i uwag o zachowaniu. Ledwie poczęty płód biurokracji ginął jednak w obliczu spraw merytorycznych. Kursantów rozliczano konkretnie: czy to jest „b” czy cyfra „6”? Jak widać, nie brak w pytaniu nauczycielskiej przebiegłości. Innym razem „pani” kreskowała parę chałup, podstępnie uzgadniała z adeptem ostatnią literę widniejącego pod rysunkiem podpisu (była to litera „y”) i bezlitośnie kropiła dwóję, gdy pacholątko czytało „domy” zamiast „chaty”. Żadne dodatkowe zasługi, jak np. przynoszenie rodzicielskich piór i ołówków, zamiatanie „klasy”, grzeczność dla „pani nauczycielki” nie podciągały oceny do dostatecznej.

Nietrudno zauważyć, że dziecięce zabawy były odpowiedzią na czas powszechnej i pośpiesznej edukacji, przede wszystkim upartego likwidowania analfabetyzmu. Na każdym podwórku królował jednak sport, zwłaszcza piłka nożna, do tej pory największa miłość nasza, choć inne sekcje lokalne przysparzają więcej awansów, dyplomów i tytułów do chwały. Niebywałe powodzenie miały trzepaki z dolną poprzeczką do improwizowanego tenisa, z górną do siatkówki, głównie zaś jako naturalne bramki do nożnej. Podwórkowy system wartości eliminował z gier maminsynków i płaksy, których obawa przed rozdarciem wdzianka albo przed „limonem”zrobionym na granatowo pod okiem, zmuszała do obierania bardziej zacisznych kącików. Innych nieobecnych separowali rodzice kontynuujący tradycje tzw. dobrych rodzin z fortepianem na pierwszym piętrze lub porastający w pióra nowych, źle pojmowanych, społecznych i fotelowych godności.

Okres prosperity dla naszych podwórek nie miał długiego żywota. Cios dla samorzutnej oddalonej inicjatywy przyszedł ze strony zupełnie niespodziewanej. Nie zrobili tego nauczyciele, nie zawiniły organizacje ani sportowe kluby, chociaż pojedyńczo wybierały nas jak raki ze saka. Pewnego dnia legły zwalone siekierą stare potężne bełkowe trzepaki i w ten sposób skończyły się mecze i ekwilibrystyczne cuda. Podwórko przestawało być nasze, bo oto, pod oknami kamienic i oficynek pojawiły się rzędy świeżo ostruganych sztachetek, mających ostro wniknąć w świadomość lokatorów, że to jest działka Momota, a tutaj grządki Sikory, a z tej kilofem wyrywał okrągłe łby kamieni cieśla Traczyk rodem spod Opoczna, by jeszcze mieć skrawek ziemi, a w nim nadzieję na marchew, fasolkę piechotę i wesoły szczypiorek na wiosnę. W komórkach natomiast, coraz to pokaźniejszych, wznoszonych na żywioł i z pewnym rozmachem gospodarskim, zaczął się tucz warchlaków. Krępowało to nasze ruchy niepomiernie, a piłka z prawdziwego wreszcie zdarzenia, z pokrowcem ze skóry, służyła właścicielowi coraz częściej jako stołeczek. Jeśli odskoczyła od ręki lub nogi, mogła przepaść, a uroczystość zwrotu wymagała z kolei niepożądanego udziału rodziców. O ile mini-ogródki u zasiedziałych mieszczuchów znalazły aprobatę, o tyle dla komórek z nierogacizną zrozumienia nie było i wciąż słano interwencje do władz. Odpowiedni paragraf peerenu niektóre komórki rozwalił, wieprzaki wygnał z miasta majestatem prawa, chwalić boga, razem ze szczurami, ale pewne poletka nie objęte operatywnością władz pozostały do likwidacji na drugie trzydziestolecie.

Powoli wchłaniały nas szkoły, świetlice fabryczne z pingpongową atrakcją, boiska klubów sportowych, harcerstwo, niektórych już ZMP i ekscytowała się nami ulica. Mówiło się wtedy o P., że jest miastem młodzieży i emerytów.

(II nagroda w dziale prozy XI Konkursu Literackiego „Rubinowej Hortensji”)

LUDWIK GEBEL

KALEJDOSKOP

I

SPOJRZENIE PIERWSZE

R eka płynęła obok lat pierwszych
z dwóch brzegów i z nieba strzelano
bańki mydlane pękały w piwnicy

Gdy cisza nastała chciałem rzekę zatrzymać
lecz ptaki nadlatywały jak samoloty
kto ukradł wołałem kto spłoszył mi rzekę

II

SPOJRZENIE DRUGIE

Byłem okryty chmurami
dyszały jaśminy nad zbożem wezbranym
i roziskrzyły się maki we mnie

A wtedy z chmur spadły jaskółki
i tylko glinę spękaną znalazłem
czekała mych butów z ołowiu do koszar

III

SPOJRZENIE TRZECIE

Już odliczono na Forum Romanum
wczoraj podbite narody

Już przećwiczono synów ojczyzny
na wojnę pierwszą i drugą

Już Marsa trafiono rakietą
wczoraj był Bogiem

Minąłem już dawno trzydziestolecie
minęły mnie bomby, burzące

IV

SPOJRZENIE OSTATNIE

Wróciłem do siebie w obrocie kalejdoskopu
z ulicy zburzonej z tornistrem i z datą
rok pierwszy po wojnie

Wróciłem od tego ugoru
gdzie pozostawiłem pałace z piasku
i echo zaklęć ułudnych

Do tych nadziei z których wyrosłem
wróciłem po żniwach trzydziestu
po to by zabić śmiertelny głód swych miraży

I nagroda w dziale poezji XI Konkursu Literackiego „Rubinowej Hortensji”.

JEDNO z 49

Przed okazałym gmachem miasta stoi przybysz i rozgląda się bezradnie. Wreszcie decyduje się zwrócić o pomoc do kogoś z miejscowych.

— Przepraszam bardzo, ale gdzie tu jest centrum?

Miejscowy patrzy bezradnie.

— Centrum — zastanawia się głośno — to chyba tu, bo tu jest gmach województwa, poczta, Instytut Warzywnictwa. Tam dalej jest PKO, a na prawo za rogiem Komitet Wojewódzki.

— Ale tu nigdzie nie ma sklepów — powiada na to przybysz.

— A — cieszy się miejscowy — panu chodzi o rynek. To zupełnie co innego. Pójdzie pan prosto i potem na prawo. I tam będzie rynek, sklepy i dwie restauracje.

Historyjka jest autentyczna i doskonale ilustruje aktualną sytuację miasta, które nagle, 1 czerwca 1975 roku stało się miastem wojewódzkim.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

MIASTO W ZASKOCZENIU

SKIERNIEWICE są dziwnym miastem i to nie od dziś. Są tu dwa instytuty naukowe: **Instytut Sadownictwa** i **Instytut Warzywnictwa** i ani jednego kina z prawdziwego zdarzenia. Kino dopiero buduje się.

W 1867 roku Skierniewice stały się siedzibą powiatu. Po pierwszej wojnie światowej powiat skierniewicki do 1933 roku należał do województwa warszawskiego. Później — do łódzkiego, ale miasto przez całe nasze trzydziestolecie twarzą zwrócone było w kierunku Warszawy. Dla województwa łódzkiego były to dalekie — podwarszawskie już — peryferie. Taki stosunek odbijał się na polityce władz byłego województwa łódzkiego. Administracyjne wyposażenie miasta i powiatu lokalizowane było w ościennych centrach: Łowiczu, Rawie Mazowieckiej. W Łowiczu był urząd telefoniczny, rejon energetyczny, przedsiębiorstwo remontowo—budowlane. W Skierniewicach budowało Rawsko—Koluszkowskie Przedsiębiorstwo Budowlane. Do 1974 roku nie było planu zagospodarowania miasta. Plan taki powstał dopiero w 1974 roku i obowiązuje do dziś, choć dziś właściwie przestał być już aktualny.

Ale Skierniewice mają piękną przeszłość, choć może nie najlepiej znaną. Powszechnie wiadomo, że istnieje tutaj Instytut Sadownictwa oraz prof. Szczepan Pieniążek. Mniej natomiast wiadomo, że również w Skierniewicach działa inny, też pożyteczny — Instytut Warzywnictwa. Mało też wiadomo, że w Skierniewicach w 1884 roku odbył się zjazd cesarzy Austrii, Niemiec i Rosji.

Pierwsza wzmianka o Skierniewicach pochodzi z 1359 roku. Miastem stały się w 1457 roku. W XIV wieku był tu ośrodek sukiennictwa, który mimo okresowych zahamowań istniał do końca XIX wieku.

W 1814 roku Skierniewice weszły w skład Księstwa Łowickiego i stały się letnią rezydencją Wielkiego Księcia Konstantego. Przeznaczył on na ten cel pałac arcybiskupów.

W 1845 roku miasto otrzymało połączenie kolejowe z Warszawą i stało się miastem kolejarzy.

Ale to wszystko przeszłość, której liczne ślady wywarły mocne piętno na współczesności miasta.

2.

1 czerwca 1975 roku Skierniewice stały się miastem wojewódzkim. Fakt ten otworzył przed miastem ogromne perspektywy, a jednocześnie niebywale spiętrzył trudności. Dopiero teraz, w obliczu nowych zadań i potrzeb, z niezwykłą jaskrawością okazało się, jak bardzo Skierniewice stały na uboczu głównego nurtu inwestycyjnego w rozwoju byłego województwa łódzkiego.

Z kłopotami lokalowymi boryka się wiele nowych miast wojewódzkich. Nowe instytucje trzeba lokować wszędzie tam, gdzie jest to możliwe. Z pomocą przychodzą zakłady pracy, instytucje poprzednio tu działające. Trzeba będzie zatem budować i dla Skierniewic, jest to optymistyczną prognozą.

— **Potrzeby lokalowe, jakie zrodziły się w chwili awansowania miasta do rangi siedziby województwa** — mówi naczelnik Skierniewic, Marian Lipiński — **stały się dla nas ogromną szansą. Dzięki temu można będzie skorygować dotychczasowe plany urbanistyczne i stworzyć nowoczesne, piękne miasto.**

I w tym stwierdzeniu nie ma żadnej przesady. Słowo szansa nie brzmi jak pusty slogan, wypełnia je bowiem bogata treść wyznaczana potrzebami miasta. Dla Skierniewic jest to bowiem nie tyle zaspokojenie ambicji, aby w istocie być miastem wojewódzkim, ale jedyna okazja, aby stać się miastem współczesnym.

Ale tu już wyłania się pierwsza trudność, która tę szansę pomniejsza. W Skierniewicach nie ma bowiem przedsiębiorstwa budowlanego.

— **Trzeba je będzie powołać** — powiada zastępca naczelnika, Czesław Judziński.

— A ludzie? — pytam. — Skąd wziąć ludzi?

— **Z tym to akurat najmniejszy kłopot, bo tak się dobrze złożyło, że wprawdzie nie mieliśmy przedsiębiorstwa budowlanego, ale mamy zespół szkół budowlanych. Do tej pory zasilały one przedsiębiorstwa w Łowiczu, Koluszkach, Rawie Mazowieckiej, a także w miastach byłego województwa warszawskiego. Teraz absolwenci tych szkół pracę będą mieli na miejscu.**

Ale kłopot z kadrą jest ogromny. Urząd Miejski w Skierniewicach, jako urząd miasta wojewódzkiego, zmienia swoją strukturę. Potrzebny jest na przykład prawnik, architekt, inżynier budownictwa lądowego. Funkcję tych obu spełnia — jak na razie — technik budowlany z zaledwie dwuletnim stażem pracy. Ludzi potrzebują też inne instytucje województwa skierniewickiego. Część z nich dojeżdża z Łodzi. A więc potrzebne będą mieszkania. I to znów określa program budownictwa. Ale nie tylko.

Skierniewice mają dwie restauracje: „Ratuszową" i „Skierniewiczankę", pracujące na jednej kuchni, bez właściwych magazynów na żywność, bez mechanizacji nawet małej, duszące się od tłoku głodnych gości, kiedy do Skierniewic zawita wycieczka, albo zjadą petenci wojewódzkich instytucji czy uczestnicy jakiejś pilnej narady. Trzeba zatem budować nowe restauracje. W projekcie jest pawilon gastronomiczny. Dzięki temu poprawi się nieco ilość miejsc restauracyjnych przypadających na tysiąc mieszkańców. Obecnie jest ich 17, cokolwiek lepiej niż w Żyrardowie, gdzie na tysiąc mieszkańców przypada 13 miejsc w restauracjach. Ale to w niczym nikogo w Skierniewicach nie pociesza.

Skierniewice nie mają hotelu. Do tej pory mało to komu było potrzebne. 40 łóżek w dawnym POSTiW zupełnie wystarczało tym, którzy nie zabrali się pociągiem do Łodzi czy Warszawy, lub tym, którzy zostali oddelegowani do Skierniewic na dwa lub trzy dni. Teraz już nie wystarcza. A więc trzeba budować również hotel.

Są też potrzeby jeszcze pilniejsze. Skierniewice dysponują na 27 tys. mieszkańców jednym żłobkiem z 40 miejscami. Tylko 60,3 proc. dzieci w wieku przedszkolnym objętych jest opieką.

Skierniewice nie posiadają też należycie rozwiniętej, nowoczesnej sieci sklepów. Część sklepów znajduje się w starych lokalach, część już w nowych, ale to wszystko mało. Do tej pory jeździło się po zakupy do Łodzi, do Warszawy lub do miast podwarszawskich. Teraz ludzie będą przyjeżdżali po zakupy do Skierniewic, dokonując ich przy okazji załatwianych tu interesów. A Skierniewice muszą się do tego dopiero przygotować. W projekcie więc jest modernizacja wielu sklepów oraz budowa dwu pawilonów handlowych. To na początek.

I tak można byłoby wyliczać budowlane potrzeby miasta, które wprawdzie leży w połowie drogi między Łodzią i Warszawą, ale które było bardzo dalekie od Łodzi i w przeszłości leżało, siłą faktu, na peryferiach wojewódzkich zainteresowań.

3.

Reforma administracji i nowy podział administracyjny kraju dokonały zmiany orientacji. Dawniej wszyscy w Skierniewicach patrzyli w stronę Warszawy. Co rano około 5 tys. osób wsiadało do pociągów i jechało do pracy do Ursusa, Żyrardowa, Pruszkowa, a nawet Warszawy. Dziś też jeszcze jeżdżą, ale w Skierniewicach coraz silniej utrwala się przekonanie, że sytuacja ta ulegnie zmianie. Dziś ludzie zaczynają już patrzeć przede wszystkim na Skierniewice. Tu jest centrum województwa, tu zaczynają się koncentrować wszystkie zainteresowania. Do tej pory Skierniewice były miejscem zamieszkania, teraz stają się miejscem życia. Pozornie może to i niewielka różnica, w istocie — ogromna.

Na cały 1975 rok założono, że odnowi się 30 elewacji, a już do czerwca odnowiono 70. Założono też, że w całym 1975 roku rozbierze się 110 starych ruder, rozebrano — 112. A do końca roku pozostało jeszcze 6 miesięcy. Nie są to oczywiście wielkie sprawy, ale jest to już troska o wygląd miasta. Mieszkać można bowiem byle gdzie, ale żyć chce się wygodnie, w ładnym otoczeniu, dostatnio. Są to pierwsze oznaki zmiany stosunku, zmiany orientacji, rezultat skierowania spojrzenia do środka.

— **Planujemy aby na początku przyszłego roku** — mówi zastępca naczelnika, Czesław Judziński — **uruchomić w Skierniewicach komunikację miejską. Zająłby się tym na początek PKS. Przewidujemy 5 stałych linii, które krzyżowały by się w okolicy dworca PKP i objęły by całe miasto. Musimy szybko rozwiązać problem parkingów, bo już przed niektórymi instytucjami robią się korki samochodowe. Nie ma gdzie postawić samochodu, nie ma jak przejechać.**

Ograniczenia lokalowe spowodowały, że część instytucji wojewódzkich otrzymało swoje siedziby w Żyrardowie, Rawie Mazowieckiej, Łowiczu. Niezbędna jest zatem sprawnie funkcjonująca sieć telekomunikacyjna. Pod koniec 1974 roku, po zmodernizowaniu centrali telefonicznej, której pojemność zwiększyła się o 1000 numerów, a było przedtem tylko 600, brakowało w Skierniewicach telefonów. Brakuje ich dziś tym bardziej.

— **Zmieniła się skala** — powiedział mi skierniewiczanin wypoczywający na ławce, w cieniu drzewa, gdy się do niego przysiadłem i pytałem o miasto i jego teraźniejszość. — **Dawniej, jak tu coś budowano, to budowano na skalę małego miasta powiatowego, niezbyt liczącego się w skali byłego województwa. Nie mieliśmy wówczas wielkich perspektyw. I nagle, to małe miasto zostało zaskoczone zupełnie odmienną rolą, innym wymiarem, innymi potrzebami. Dziś patrzymy na nie już w innej skali i to pozwala na szybki rozwój inicjatyw. Mam nadzieję, że wielu młodych, którzy kształcą się na wyższych uczelniach, tu właśnie powróci i tu będzie chciało spróbować swoich sił, wykazać się swoimi możliwościami, zdolnościami. Zmiana skali otwiera przed nimi nowe możliwości. Wielu też zrezygnuje chyba z dojazdów i poszuka dla siebie pracy na miejscu. Żeby tylko jeszcze mieli gdzie spędzać wolny czas. Ale i do tego chyba szybko dojdziemy.**

— **Jak sobie poradzimy?** — powtarza moje pytanie naczelnik Marian Lipiński. — **Musimy sobie poradzić. Proszę przyjechać do Skierniewic za 5 lat, będzie to już inne miasto. A na razie musimy rozwiązać, jako najpilniejszy, problem kadr. Od października w Skierniewicach rozpocznie działanie filia Wydziału Ekonomicznego UŁ, myślimy też o filii Studium Administracyjnego UŁ oraz o filii którejś z politechnik. Nie możemy liczyć tylko na import kadry, trzeba ją przygotowywać na miejscu.**

Ale do Skierniewic wybiorę się nie za 5 lat. Trzeba tu będzie zaglądać częściej, aby śledzić, jak miasto wychodzi z zaskoczenia, jak przeobraża się i rozwija.

Zdjęcia wykonał
WŁODZIMIERZ PARYS

LISTY Z KOLONII

KOCHANY TATO!

Piszę list do ciebie bo do mamy już list wysłałam tylko nie wiem czy doszedł. Mieszkam w domu, który nazywa się „Róża". A Monika w domu, który nazywa się „Lubin". Jest tu jeszcze dużo budynków które ci wymienię: Sokrotka, Piwonia, Niezabudka i dużo bardzo dużo domów. Dziś 9 czerwca byliśmy na plaży. Ja się opaliłam i plecy mnie pieką tęskno mi za wami. Za babcią za tobą i najbardziej za mamą. Dobrze, że nie wzięłam skakanki i małej pileczki bo wszystko tu jest: Są rowery i wrotki, skakanki i piłki i bambinkton. Monika ma dwie koleżanki najlepsze Elę i Ewę i chodzą na wycieczki tak samo jak ja Mamusiu przyślij mi krem Niweya bo mi się skończył dziś na plaży, bo dziewczynki mnie prosiły żeby je wysmarowała. Tato jak najprędzej wyślij mi kartę albo list i paczkę.

Ewa

KOCHANA MAMUSIU!

Wysłałam już do ciebie trzy listy i kartę do babci i Taty. Dziękuję Ci za czekoladę, którą już ze smakiem całą zjadłam. Nasza grupa nazywa się: Słoneczna, A grupa Moniki nazywa się: Dzwoneczki. Byłam już dwa razy na plaży i się opaliłam że na twarzy i plecach jestem brązowa. Byłam już jeden raz na wieczorku tanecznym i poprosił mnie chłopak siedem razy. Tęsknię już za tobą a jeszcze równe dwa tygodnie.

Ewa
grupa słoneczna

KOCHANI RODZICE!!!

Dziękuję za drugi list który doszedł wczoraj. Wczoraj na podwieczorek były lody i ja je zjadłam były smaczne i zimne nie gniewaj się na mnie że zjadłam ale mi smakowały. U nas Hup to znaczy grupowa Aneta wzięła z dworu dwa pająki i je hoduje. Czasami jak jest zimno to idziemy do świetlicy oglądać telewizor jest tu radio i rzeczy sportowe tęsknie już za szkołą.

SŁOWNIK PISARZY ŁÓDZKICH

Fot. Włodzimierz Parys

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

Władysław Rymkiewicz urodził się 17 maja 1900 roku w Kaliszu. Po ukończeniu prawa na Uniwersytecie Warszawskim w roku 1926 do wybuchu drugiej wojny światowej pracował jako adwokat.

Rekomendację debiutu prozatorskiego Rymkiewicza stanowiły dwie nagrody, uzyskane w niewielkim odstępie czasu: w roku 1925 w konkursie Koła Polonistów UW za nowelę „Zdrada" (druk w „Bluszczu"), a w rok później w konkursie „Wiadomości Literackich" za opowiadanie „Wiesław i Gladys". Z czasem pisarz zgromadził więcej tego rodzaju wyróżnień (m. in. za teksty sceniczne: „Kryształowy człowiek" w 1937 r. i „Konsul" w 1963, a także nagrodę literacką m. Łodzi w 1958 r.), jednak znaczenie tych pierwszych laurów literackich jest chyba większe w biografii pisarskiej; bez wątpienia animowały one aspiracje twórcze młodego adepta palestry.

Rozwój pozaprofesjonalnych zainteresowań przerodził się w latach następnych w regularną pracę literacką, tom za tomem powiększającą dorobek autora: „Pan swego życia" (1929), „Prawo do miłości" (1931), „Eksmisja" (1933), „Człowiek o dwóch twarzach" (wspólnie z Bohdanem Tuhanem, 1945), „Ludzie bez jutra", „Rafał z lasu" (1946), „Raj utracony" (t. 1—2, 1947), „Ziemia wyzwolona" (1951), „Rycerze i ciury" (1953, czwarte — 1956), „Noc saska" (1956, 1959), „Dworzanin pana Morsztyna" (1957), „Carewicz na ulicach Krakowa" (1959), „Romans królewski" (1961, czwarte — 1970), „Ucieczka z ziemi obiecanej" (1961), „Trzystu pod Dobrą" (1963, 1965), „Konferencja u mecenasa" (1964), „Widok z Księżego Młyna" (1966), „Czas pojedna, trawa porośnie" (1969, 1973), „Portret królowej" (1971), „Wtajemniczenie" (1974). Dodajmy do tego wykazu szereg recenzji (zwłaszcza teatralnych), felietonów, publicystykę kulturalną w łódzkiej prasie literackiej i w gazetach codziennych.

W krótkim szkicu niepodobna przedstawić tak obfite powieściopisarstwo w ujęciu monograficznym, z niezbędnym w takich razach systematycznym różnicowaniem nurtów tematycznych i sposobów kształtowania fikcji literackiej. Ograniczę się więc jedynie do kilku spostrzeżeń ogólnych.

Przez ponad dwa dziesięciolecia Rymkiewicz penetrował problematykę współczesną, szeregiem utworów poświadczając znawstwo mentalności i realiów obyczajowych, właściwych dla środowisk inteligencko—mieszczańskich i sfer urzędniczych. W reacjach bohaterów tej prozy, nie dość zresztą jeszcze artystycznie wyszlifowanych, dostrzec można jakby krzyżowanie się dwóch porządków wiedzy o człowieku: jednego, który wywodzi się z psychologii, a wyraża się w introspekcyjnych analizach duszy, i drugiego, którego szlak prowadzi z socjologii i ujawnia się w formie niemalże reportażowych studiów grup społecznych, uwikłania jednostki w zbiorowość. W dążeniu do syntezy tych dwóch porządków poznawczych widać wpływ kultury międzywojnia — epoki psychologizmu i powieści społecznej. Ówczesne próby Rymkiewicza mają jednak drugorzędne znaczenie dla obecnej pozycji pisarza w literaturze polskiej, pozycji wypracowanej dzięki późniejszej twórczości.

Emploi literackie autora „Widoku z Księżego Młyna" ujawnił dopiero zwrot ku beletrystyce historycznej w latach pięćdziesiątych. Toteż dzisiaj Władysław Rymkiewicz jest znany, ceniony i czytany przede wszystkim jako powieściopisarz historyczny. Beletrystyka, którą uprawia, jest zresztą niejednolita, tak pod względem rangi myślowej, jak i adresu czytelniczego, jak wreszcie pod względem poziomu artystycznego opracowania. By te różnice zauważyć, wystarczy porównać np. popularną (i poczytną — świadczą o tym cztery wydania w ciągu czterech lat!) powieść „Rycerze i ciury" z „Czas pojedna, trawa porośnie".

Ta druga z wymienionych powieści naprowadza właśnie na trop cyklu literackiego, realizującego ambitne zamierzenie pogłębionego (w stosunku do opowieści o tym, „jak to drzewiej bywało") wejrzenia w przeszłość, pojętą nie jako malownicza kraina obyczajowych anegdot, lecz jako etap procesu historycznego, pełen konfliktów społecznych i moralnych, antagonizmów ideologicznych, rozterek i dramatów ludzkich. Na ów cykl składają się teksty, opublikowane w latach 1963—1974, a oparte na motywach walk narodowych i rewolucyjnych w regionie łódzkim w półwieczu zamkniętym datami zrywu styczniowego 1863 roku i wybuchem pierwszej wojny światowej: „Trzystu pod Dobrą", „Widok z Księżego Młyna", „Czas pojedna, trawa porośnie", „Wtajemniczenie".

Podobnie jak w temacie współczesnym, również w temacie historycznym Rymkiewicz wykazuje dbałość o konkret „życia codziennego", o środowiskową — materialną i duchową — oprawę losów indywidualnych, o realistyczne prawdopodobieństwo sytuacji, postaw, poglądów i zachowań. Nie te walory wszakże wydają się być tu najistotniejsze. Warto natomiast zwrócić uwagę, że w cykl łódzki Rymkiewicza, wpisana jest koncepcja powieści historycznej jako literackiej formy prezentacji przemian zachodzących w sferze myśli społecznej, koncepcja fikcji fabularnej jako środka wyrazu sporów ideologicznych, rywalizacji doktryn i ich wzajemnego przenikania się w świadomości jednostki, przeżywającej dziejowe przesilenia. W „Widoku z Księżego Młyna" i w „Czas pojedna, trawa porośnie" występują nawet postacie autentycznych działaczy: Humnickiego, Krasuskiego, Pestkowskiego (pod pseudonimem Wojnicz), którzy byli rzecznikami różnych wariantów doktrynalnych w ramach myśli socjalistycznej przełomu XIX i XX stulecia.

Innym godnym podniesienia aspektem cyklu łódzkiego jest możliwość odczytywania tego typu powieści jako studium sytuacji człowieka, który czuje się nieswojo w zbiorowości (warstwie, organizacji politycznej), w roli społecznej, w jakiej się — w wyniku obiektywnych okoliczności — znalazł. Różne są warianty tego problemu. W „Trzystu pod Dobrą" historia przerasta skądinąd wartościową, jednostkę, która nie jest w stanie sprostać wymogom sytuacji; w „Widoku z Księżego Młyna" dysproporcja pomiędzy ideałem życia, stanem świadomości a zdolnością do realizowania owych zasad w realnych warunkach społecznych wywołuje konflikt sumienia, kompleks moralnie podejrzanego kompromisu; w „Czas pojedna, trawa porośnie" z kolei źródłem podobnych komplikacji jest sprzeczność pomiędzy dążeniem jednostki do suwerenności światopoglądowej i własnego sądu a doktryną niwelującą postawy indywidualne. Szalenie ciekawe są te kolejne mutacje historyczne wskazanego problemu w prozie Rymkiewicza, ów klimat skrupułów, wewnętrznych niezborności, pęknięć pomiędzy wzorem życia, opartym na wyznawanych wartościach a formą życia, wyznaczaną przez determinanty społeczne. Szalenie ciekawa jest ta postawa duchowa, która pisarza frapuje i domaga się wyrazu w różnych wersjach i wśród rozmaitych realiów historycznych.

Treści te nie zawsze dotąd były dostrzegane, trzeba bowiem przeniknąć przez zewnętrzną warstwę realiów sugerującą konwencje powieści historycznej jako beletrystycznej ilustracji wiedzy o przeszłości. Nie zmienia to zresztą podstawowych zasad powieści realistycznej, polegających na budowaniu iluzji rzeczywistości. Mimo stosowanych w tej twórczości eksperymentów modernizujących tok narracyjny. Władysław Rymkiewicz pozostaje pisarzem orientacji umiarkowanej.

JERZY RZYMOWSKI

HISTORIA OBYCZAJÓW (IV)

Dalszy ciąg ze str. 1

ce. W ostatecznej konsekwencji charakter Augusta ukształtowany został raczej korzystnie. W jego dojrzałej osobowości uderzała tolerancja, szacunek dla odmiennych postaw i przekonań, siła woli, aktywność umysłowa. Z cech mniej pozytywnych można wymienić skrytość, podejrzliwość, pewną nieszczerość. Z cech dyskusyjnych należy mocno podnieść uleganie popędom — w rozpatrywanych latach cechował go potocznie rozumiany epikureizm.

Zygmunt August od wczesnej młodości poznawał smak i urodę życia, przyjemności i rozkosze potrafił wszakże umiejętnie dozować i selekcjonować. Lubił wesołe bankiety, tańce, festyny, był gorącym wielbicielem śpiewu i muzyki (za jego przykładem panowie litewscy poczęli trzymać nadworne kapele). Jak wszyscy przodkowie po mieczu, a także wielu innych wielkich panów, pasjonował się łowiectwem. Lubił całymi miesiącami polować na grubego zwierza, miłami ścigać żubry, dziki, niedźwiedzie. W 1546 roku polował przez 223 dni!

Pośród pasji życiowych na pierwszym miejscu należy postawić jednak „uciechy z Wenerą", życie miłosne. Skłonność do kobiet dziedziczył po przodkach; Ludwik Kolankowski powiada o Jagiellonach:

„Gorący to wielbiciele płci pięknej, do której hołdów byli pochopni wszyscy, prócz Warneńczyka, znanego na tym punkcie zboczeńca... Kobiety w ich życiu prywatnym i publicznym grają wielką rolę czy to jako małżonki, czy miłośnice".

Należy pamiętać także, że był pół-Włochem, że dziedziczył gorący, południowy temperament. Nie będzie bagatelną informacją, iż w jego osobowości występował silny popęd seksualny, że dysponował nieprzeciętną potencją. Na intensywność i formy jego życia miłosnego miało równie duży wpływ środowisko kulturowe, obyczaje, jakim hołdowano na dworze Bony.

A były one bardzo swobodne. Na dworze królewskim romansowano na zabój i cieszono się życiem. Historyk Maria Bogucka pisze:

„Nie można powiedzieć, aby na zygmuntowskim dworze panowała zbytnia skromność. Bujne temperamenty wyładowywały się w licznych miłostkach i romansach, zwłaszcza że wśród fraucymeru królowej nie brakowało pięknych panien (...) Nie brakowało jednak i związków mniej legalnych (...) Hasło: carpe diem to ulubione zawołanie epoki".

Wiemy, że królewicz od wczesnej młodości otoczony był dziewczętami, wzrastał w atmosferze przesyconej erotyzmem.

Stanisław Orzechowski w mowie pogrzebowej na pogrzebie Zygmunta Starego czynił aluzje do wychowania młodego króla, głosząc:

„Czego bowiem, przebóg, oczekiwać można od tego, kto bez żadnych uczciwych zasad, wprost z grona dziewcząt, od śpiewu, od gry na flecie, od rozpusty, maskarad, wina, snu, od nierządu doszedłszy do najwyższej władzy. Wierzajcie mi, że chlubić się będzie swoim wyuzdaniem".

Jest pewne, że Zygmunt August życie erotyczne rozpoczął wcześnie, powiadano, iż już jako młodzieniec był zdemoralizowany miłostkami, że „wyrobiła się w nim w wysokim stopniu lubieżność". Przyzwyczajona do włoskich obyczajów Bona tolerowała postępowanie syna, złośliwi mówią, że nawet ułatwiała miłosne kontakty. Jest faktem, że pierwszymi kochankami były dworki z fraucymeru matki. W wieku siedemnastu lat miał m.in. romans z 38-letnią Włoszką Dianą di Cordoba. Była to urodziwa, wykształcona, interesująca niewiasta, znana także z burzliwych przeżyć miłosnych, jakich doznała uprzednio w Italii. Jako miłośnica królewska otrzymała dom przy Bramie Floriańskiej, w której nawiedzał ją młody August. Można przypuszczać, że sumiennie wyedukowała go w arkanach miłosnych. Później, około 1542 roku, dłuższy romans przeżył z mieszczką krakowską Weissówną.

Zygmunt August od młodości przejawiał skrystalizowaną koncepcję życia seksualnego. Za naturalne i etyczne uważał utrzymywanie licznych, często równoczesnych, związków miłosnych z wieloma kobietami. Z miłostkami swymi wcale się nie krył, zmianę partnerek uważał za rzecz oczywistą, intensywność i częstotliwość stosunków płciowych za moment zbawiennie działający na swoje zdrowie i samopoczucie. Jego obyczaje seksualne były więc najdalsze od purytanizmu. Nie zmieniło ich także, zrealizowane po latach pertraktacji, zawarte ze względów politycznych, małżeństwo.

6 maja 1543 roku zaślubił bowiem w Krakowie Elżbietę Austriaczkę, synowicę cesarską, córkę króla rzymskiego Ferdynanda Habsburga. Ślub odbył się za dyspensą papieską, ponieważ między młodą parą zachodziło bliskie pokrewieństwo, Zygmunt August był m.in. ciotecznym wujem narzeczonej. Elżbieta miała opinię „pięknej, skromnej, świętobliwej". Pochlebcy głosili, że była niezwykle urodziwa. W istocie była tylko ładna, posiadała niezaprzeczony, choć raczej infantylny urok. Podróż zniosła źle, do stolicy przybyła „blada, smutna, wątła i ledwie żywa". Później wyglądała nieco korzystniej, lecz inteligentnego męża raziła flegmatycznością i umysłową ociężałością. Pobożnością i „skromnością dziewiczą" zaś wręcz odstraszała.

Młodziutka, niespełna 17-letnia, rygorystycznie wychowana, nierozbudzona, nie miała pojęcia o fizycznym współżyciu. Słowa Klemensa Janickiego, że „... ta dziewica hoża godna być uczestniczką królewskiego łoża" w kontekście prawdziwego stanu rzeczy i upodobań męża, zakrawały na ironię. Od pierwszych kontaktów August traktował ją lekceważąco, nie dzielił z nią stołu, narażał na upokorzenia ze strony służby, która bawiła się jej zażenowaniem, gdy pośród szpaleru dworaków musiała defilować do postawionego w sypialni króla małżeńskiego

ZBIGNIEW KUCHOWICZ

ŻYCIE MIŁOSNE ZYGMUNTA AUGUSTA

łoża. Istnieją zresztą poszlaki, że ostatnie wynikało nie tyle z niedelikatności, ile perwersji. Prawdopodobnie podniecała Augusta drastyczność sytuacji i dlatego wydawał wyraźne polecenia zmuszające Elżbietę do okazywania pewnego bezwstydu. Relacja współczesna informuje na temat tego obcesowego przywoływania: „Niektórzy przypisywali to charakterowi młodego króla". (Można domniemywać, że już uprzednio lubował się w aranżowaniu podobnych scen, stąd też wzmianka o jego „charakterze".) Elżbieta nie potrafiła go długo ekscytować, bodaj zaś nigdy zadowolić. Przy tym wszystkim okazało się, że chorowała na epilepsję. Nic więc dziwnego, iż posiadającemu szeroki wybór nałożnic mężowi rychło całkowicie zobojętniała, więcej, budziła w nim odrazę wskutek nękających ją konwulsji. Dyplomata austracki żalił się, że niekiedy trzydzieści i czterdzieści dni upływało bez ściślejszego pożycia Jego K.M. z prawą małżonką jego i że tak miła, wdzięczna i tylą cnotami i darami przyrodzonymi uwieczniona Pani, takiej wzgardy i upokorzenia serca doznaje". W tym czasie młody Jagiellon romansował z wypróbowanymi już miłośnicami tryumfującymi ze swej przewagi nad niedoświadczoną i słabowitą Elżbietą.

30 lipca tegoż roku Zygmunt August chłodno pożegnał żonę, zanotowano, że rzekł jej ledwie kilka słów i wyjechał na Litwę. Za nim wysłano potajemnie najulubieńsze jego nałożnice. Elżbietę pozostawił w towarzystwie rodziców i dworzan. Przesyłał jej konwencjonalne listy i pozdrowienia, jednak powszechnie wiedziano, iż jego związek z Habsburżanką ma charakter chłodny i formalny. Było także publiczną tajemnicą, że na Litwie żył wesoło z przysłowiowo lekko prowadzącymi się paniami, gotowymi na każde skinienie młodego króla.

Można tedy konkludować, iż Zygmunt August w chwili poznania Barbary Radziwiłłówny był mężczyzną doświadczonym, znającym już wiele kobiet, hołdującym rozwiązłym obyczajom. Tego rodzaju renoma nie stanowiła jakiegoś ewenementu pośród ówczesnych władców. Dzieje Borgiów, Walezjuszów, Habsburgów i innych rodzin, m.in. przykład jego stryjecznego brata, Ludwika Jagiellończyka, świadczą, że spotykało się tam pełno mężczyzn lekceważących obowiązujące normy i reguły, uprawiających rozpustę, czasem afiszujących się nawet kazirodztwem i perwersjami. Zygmunt August na tym tle nie był wyjątkiem ani nowożytnym Sardanapalem. Należy zaakcentować, że nie był również zboczeńcem, uprawiał wyłącznie stosunki heteroseksualne.

Momentem charakteryzującym jego przeżycia jest klimat namiętności, wyrafinowania, lubieżności. Świadczą o tym mniej czy więcej wyraźne informacje, wielu rzeczy należy się zresztą tylko domyślać. Wspominałem już o jego postępowaniu z Elżbietą, jak również, iż jego komnaty zdobiły liczne lustra. Należy dodać, że w tym czasie wykorzystywano wielkie zwierciadła do uzyskiwania silniejszych wrażeń przy uściskach miłosnych. Bardzo prawdopodobne, że w ten sposób wykorzystywał je także August. Z nieco późniejszych lat mamy wiadomości, iż nabywał obrazy i tkaniny o treści uważanej u nas za nieprzyzwoitą. Można przypuszczać, że w sekretnych zbiorach posiadał bardziej drastyczne przekazy, masowo wówczas wytwarzane na Zachodzie.

Jego biografia erotyczna, już czasów młodości, wskazuje na zmysłowe, nawet ludyczne traktowanie miłości, na wyrobione koneserskie upodobania. Gustował w pewnych typach kobiet, nigdy nie interesowały go niewinne, wstydliwe, niedoświadczone. Nie cenił zbyt młodych, nie słychać, by sprowadzano mu nieletnie dziewczęta. Lubił kobiety dojrzałe, obdarzone sex appealem, biegłe w sztuce kochania. Lubił niewiasty łatwe, przymilne, swawolne. Należy pamiętać, że już za młodu zarzucano mu wyuzdanie, jego partnerki musiały dostosowywać się do tych gustów. Można domniemywać, iż temperament i żądza niewiast sprawiały mu satysfakcję, że akt seksualny traktował nie jako grzech, lecz źródło upojeń i radości życia.

Erotyzm czy nawet seksualizm Zygmunta Augusta dostrzega większość historyków, różniąc się tylko w ocenie tych zjawisk. Adolf Pawiński pisał, że był „gorący, namiętny, lubieżny", Michał Bobrzyński podkreślał jego „włoską namiętność", Józef Szujski z niesmakiem wspomina augustową „śliskość w obyczajach", Oskar Halecki ubolewa, że król odstąpił „od przykładnych obyczajów".

Zygmunta Augusta można uważać nawet za erotomana, w żadnym razie nie należy oceniać go jednak jako płaskiego lubieżnika. Wydaje się, że dotychczasowe amory traktował z jednej strony jako zaspokojenie popędu, z drugiej zaś jako swego rodzaju studia, doświadczenia, w których z uwagą obserwował doznania i reakcję partnerek, przyswajał sobie kulturę erotyczną od często starszych od niego, doświadczonych miłośnic. Znamienne, że nie zaangażował się nigdy silniej uczuciowo, nie kochał dotąd żadnej kobiety, traktując wszystkie bodaj wyłącznie jako obiekt rozkoszy i doświadczeń. Przyszłość wykazała, że ta postawa stanowiła wszakże tylko życiowy etap, iż po okresie prób i obserwacji zapragnął partnerki, która prócz zadowolenia seksualnego dostarczyłaby mu także satysfakcji psychicznej, zadowoliłaby jego wrażliwość estetyczną, dałaby mu pełnię miłości.

Prawdą jest, że żył rozpustnie, równocześnie jednak nurtowały go marzenia i tęsknoty do subtelniejszych, wręcz eterycznych przeżyć i uczuć. Zdawał sobie sprawę, iż opanował sztukę miłości, chciał wszakże, choć raczej podświadomie, być nie tylko umiejętnie, ale również spontanicznie, tkliwie kochanym. Chciał mieć obok siebie nie nudną żonę-matronę czy obojętną erotycznie żonę-dziecko, nie płatną wulgarną dziwkę, lecz kobietę piękną i namiętną, powabną i wytworną, inteligentną i dojrzałą. Kobietę, która byłaby damą na pańskiej uczcie, a uroczą bezwstydnicą w łożu, która potrafiłaby go zrozumieć i uszczęśliwić. Pokochać — nie dla imienia, pozycji, bogactwa, lecz dla cech i przymiotów osobistych, ludzkich. Niełatwo mu było znaleźć taki ideał, w życiu miał przysłowiowe sznury kobiet, wszakże tylko jedna z nich spełniła te wyszukane tęsknoty i wymagania, stłumiła nienasycenie. Była nią oczywiście Barbara Radziwiłłówna.

(c.d.n.)

TEATR NARODÓW

ATELJE 212 I SCHAUBÜHNE

Jugosłowiański teatr Atelje 212 powstał w 1956 roku. Intencją jego założycieli było stworzenie sceny, której repertuar wypełnią sztuki współczesne, awangardowe. Tak się też stało.

W Atelje 212 debiutowali młodzi pisarze jugosłowiańscy jak np. Aleksander Popović, Bora Ćosić, czy autor „Maratończyków" — Duszan Kovacević. Być może stałe związki Atelje z awangardą spowodowały, że twórca „Maratończyków" — sztuki prezentowanej w Teatrze Narodów — zasugerował się typowymi rozwiązaniami formalno-treściowymi, z jakich korzystali już inni, współcześni autorzy. Dla polskiego odbiorcy utwór ten wykazuje dość widoczne powiązania z „Tangiem" Sławomira Mrożka. Możliwe, że związki te są celowe.

Maksymilijan Topalović ma 126 lat. Jego syn — 102, wnuk — 79, prawnuk — 44, praprawnuk — 24. Poznajemy ich na zasadzie rosyjskiej zabawki zwanej babuszką. Ekspozycja jest długa, na scenę przybywają kolejni Topalovićе. Ponadto okazuje się, że tak dobrze nie wiadomo czy drzewo genealogiczne owej familii nie miało pewnych uproszczeń, zawiłości wynikających z pomocy ojców, jaką nieśli swoim synom, uważając ich za fajtłapy. Aha jest jeszcze najstarszy Topalović (150 lat), ale właśnie zdecydował się opuścić rodzinę na wieki. Trumna stanowi istotny element scenograficzny inscenizacji. Topalovićе od 200 lat zajmują się wykopywaniem trumien i wprowadzaniem ich ponownie w obieg. Najmłodszy Topalović nie ima się tego zajęcia, jest typowym nierobem, zakała rodziny. Kocha się w pewnej panience, razem słuchają muzyki, tańczą, całują się itd. I na tym kończy się charakterystyka młodych, ukazanych w tym spektaklu.

Starsi są przedstawieni również typowo. Kłócą się, nienawidzą, podejrzewają o dybanie na swój żywot. Łączą ich wspólne grzeszki, temperament i trumienny interes. W finale tej scenicznej zabawy najmłodszy Topalović przystępuje do wykonywania tradycyjnego zawodu rodziny. Z głośnika dobiega wtedy utwór pastiszujący IX Symfonię. Familia szaleje samochodem, a najmłodszy roztacza apokaliptyczne wizje — firmę rozprzestrzeni na cały świat, miliony trumien, ba, sprzedawać będą nawet garnitury, buty i inne akcesoria do ostatniej drogi, wprowadzać je do ponownego użytku. Artur z „Tanga" jeszcze się buntował. Mirko — najmłodszy z „Maratończyków" — już nie. Może zresztą nie chodziło tu o wielkie wizje, ale o dobry teatr, dysponujący dobrym aktorstwem, korzystający z rozwiązań, jakie znamy z filmu niemego, gagów braci Marx. Reżyser i scenograf „Maratończyków" — Ljubomir Draskić — zda się w inscenizacji sztuki przypominać odbiorcy tę starą prawdę, że teatr może również bawić.

* ☆ *

„Czyściec w Inglostadt" — to jeden z dwu dramatów zaprezentowanych w Warszawie przez teatr z Berlina Zachodniego — Schaubühne am Halleschen Ufer. Tragikomedię Marieluise Fleisser wyreżyserował Peter Stein. Zwrócił on uwagę głównie na dwie postacie dramatu — Roellego i Olgę. Roelle jest młodzieńcem, którego pragnienie imponowania kolegom, czy może i władzy, nad otoczeniem, doprowadza do przekonania o swoim posłannictwie duchowym. Przypłaca to tragicznie. Za nieudaną próbę wywołania anioła zostaje obrzucony kamieniami, wyklęty przez świadków wydarzenia, doprowadzony do obłędu.

Olga jest jedną z córek starego, ciężko chorego wdowca — Berottera. Niezamężna, spodziewa się dziecka, co jest powodem potępienia jej przez mieszkańców Inglostadt. Obie te postacie są znakami przeciwstawnych pierwiastków — duchowego i biologicznego. Nie oznacza to jednak, że zostały w inscenizacji Steina uproszczone do wymiarów symbolu. Nie są postaciami monolitycznymi, ale ukazują zależność obu tych przeciwstawnych pierwiastków, ich wzajemne uwarunkowania.

Do wpisanej w dramat przyczyny tragedii, leżącej poza postaciami, twórcy spektaklu dodają przyczynę drugą — wynikającą z zachowań i reakcji samych bohaterów. Aktorzy podkreślają to grą pełną ekspresji, pełną przeżywania, uzewnętrznianego nieraz gwałtownie, nieraz tłumionego, ukazywanego hamowanymi gestami, dławionego krzykiem. Uzyskują w ten sposób pewne odczłowieczanie postaci. Byłoby jednak dużym uproszczeniem stwierdzić, że wydobywają z nich tylko zło.

Rüdiger Hacker — Roelle i Angela Winkler — Olga, podkreślają zdecydowanie przeciwieństwa determinujące zachowania kreowanych postaci. Udaje im się ukazać pełną gamę uczuć — od miłości, a raczej pragnienia miłości, do nienawiści. Poniżani, sami jakże często i chętnie przyjmują postawę poniżających. Współczują i nie są jednocześnie w stanie współczuć. Każda z postaci jest niepełna, bo zawiera w sobie cechy postawy przeciwnej.

PIOTR SŁOWIKOWSKI

OPOLE – 75

FERALNA „13"

Tegoroczny Krajowy Festiwal Polskiej Piosenki w Opolu nosił kolejny numer — trzynasty. Panuje ogólne przekonanie, że „trzynastka" jest liczbą feralną. Jeśli chodzi o festiwal opolski, to pierwszą — z tej racji — ofiarą pecha była Lucyna Owsińska. Ta młoda piosenkarka, która zdobyła nagrodę w koncercie debiutów na II Polskich Targach Estradowych w Łodzi, nagrała również z tej okazji płytę z dwoma piosenkami. I wówczas uśmiechnęło się do niej szczęście: jedna z nich stała się przebojem, zaproponowano zatem Owsińskiej występ w Opolu w ramach imprezy „Przeboje sezonu". Tyle tylko, że jednocześnie Komisja Artystyczna XIII KFPP zażądała zmiany tekstu, uznając słowa piosenki „Czy będzie ci ze mną dobrze" za — jak to określono — „niemoralne" i „nie pasujące do wykonywania przez młodą dziewczynę". Ze względu na to, że autor tekstu nie „poprawił", a gdy chciał go zmienić — było już za późno, sympatyczna łodzianka nie zaśpiewała swego szlagieru na festiwalowej estradzie, mimo iż miliony ludzi znało go z anteny, a tysiące słyszało na koncertach w całym kraju.

Nie wiem: zły to czy dobry omen, ale p. Lucyna była jedna z pierwszych osób, które spotkałem w opolskim amfiteatrze, gdzie przyjechała na własny koszt jako widz. Zastanawialiśmy się wówczas razem, czy ta absencja będzie jedynym wynikłym przy okazji Opola-75 nieporozumieniem. Odpowiedź na to pytanie miała być jednak — jak pokazało pięć festiwalowych dni — bardzo złożona i niejednoznaczna. W końcu organizatorzy zaproponowali nam przecież wiele różnorodnych imprez i szczerze mówiąc — trudno przykładać do nich te sama miarę.

Zgodnie z tradycją, trwający w dniach 25—29 czerwca festiwal, zainaugurował koncert „Przeboje sezonu". Odbył się on w amfiteatrze opolskim i podobnie, jak następne zlokalizowane tam imprezy najlepiej — dzięki pośrednictwu telewizji i radia — znany jest szerokiej publiczności w całej Polsce. Nim zatem dokonamy krótkiego omówienia punktowanych przez jury bojów piosenkarzy i zespołów, poświęćmy nieco miejsca tzw. imprezom towarzyszącym. Wśród nich znalazły się dwa recitale wybitnych osobowości naszej estrady: Ewy Demarczyk i Czesława Niemena. Znana krakowska interpretatorka poezji śpiewanej wystąpiła w Teatrze im. Jana Kochanowskiego we właściwej dla siebie scenerii i z repertuarem który niewiele różnił się od tego, w jakim słuchaliśmy jej przed dwoma czy nawet trzema laty. Na to, iż tym razem zabrakło czegoś do atmosfery słynnych koncertów Demarczyk, nie bez wpływu pozostał chyba także fakt, że zaledwie kilka godzin przed koncertem piosenkarka przyjechała do Opola. „Nie wypalił" również występ jakże kontrowersyjnego niegdyś Niemena; tym razem jego kontrowersyjność mogła polegać jedynie na tym, iż na otwartym nocnym koncercie w amfiteatrze (nie był on transmitowany przez telewizję), postąpił nie fair wobec przybyłych na koncert swoich sympatyków i posłużył się nagraniami z playbacku imitując jedynie wykonanie swych songów „na żywo".

Wszyscy zawiedli się też srodze oglądając program pn. „Agnieszka i Katarzyna zapraszają, czyli walizki moje — pełne snów", któremu daleko było do zwykłej lekkości i dowcipu charakterystycznych dla produkcji Osieckiej i Gaertner. Najmniej chyba żałowali ci, którzy uczestniczyli w wieczorze wierszy i piosenek przygotowanych przez Magdę Umer.

Przejdźmy jednak do koncertów stanowiących trzon festiwalu i rzutujących bezpośrednio na jego poziom.

Kawalkada drobnych niedokładności w artystycznym działaniu festiwalowej machiny towarzyszyła opolskim imprezom niemal od inauguracyjnej konferencji prasowej, jednak swój szczyt osiągnęła na koncercie „Mikrofon i ekran". Tłumaczono wprawdzie, że to deszcz sprawił takie przyjęcie werdyktu jury, ale przeczył temu entuzjazm po wymienieniu przez przewodniczącego jury — Stanisława Dygata — nazwisk Wojciecha Młynarskiego i Andrzeja Rosiewicza. Więc jednak coś w tym jest. Podobnie, jak i w tym, że po raz pierwszy od trzynastu lat wycięto z programu telewizyjnego moment odczytania decyzji jurorów. Nie koniec na tym.

Do koncertu galowego zaproszono kilka gwiazd polskiej estrady, które w ostatnim czasie odniosły spore sukcesy za granicą. Mimo ulewnego deszczu i przejmującego zimna piosenkarki przyjechały i wystąpiły, lecz w transmisji telewizyjnej zobaczyliśmy je wyłącznie, w finale, zaś piosenki Jantar, Jarockiej, czy Zagórskiej, zostały wymontowane z ampeksu.

I wreszcie największe tegoroczne nieporozumienie: wbrew poprzednim zapowiedziom „Przeboje sezonu" nie zostały ocenione przez jury, chociaż był to koncert punktowany (pierwotnie). Mętne tłumaczenia nie rozwiały wątpliwości. Jury bowiem stwierdziło, iż nie może dokonywać oceny utworów, które już wcześniej zdobyły popularność. Czyżby więc nie wiedziano, że szlagiery aby stać się szlagierami, muszą być znane?

Nieustannie frustrowani tym wszystkim dziennikarze postanowili przyznać

Fot. Lesław Sagan

swoją doroczną nagrodę imprezie, która odbywała się na marginesie festiwalu: programowi pn. „Spotkanie z balladą". No i dobrze, bo dopóki na festiwalowe estrady nie powróci śp. „Kabareton", trudno będzie wśród imprez konkursowych w Opolu znaleźć równie dobrego kandydata. „Toteż mówię" — jakby powiedział w tym miejscu Jan Tadeusz Stanisławski. Ja zaś — póki co — dedykuję Festiwalowi Polskiej Piosenki utwór Niemena pod znamiennym tytułem „Pieśń ocalenia". Miejmy nadzieję, że ta dedykacja poskutkuje i „czternastka" nie będzie dla Opola feralna.

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

FILM

STRACH

Za powieść **„Strach" Zbigniew Safjan** otrzymał I nagrodę w konkursie zorganizowanym przez Komendę Główną Milicji Obywatelskiej i PW „Iskry". Słuszność tego wyróżnienia stwierdzić mogli wszyscy jej czytelnicy, którzy sięgając po książkę sensacyjną, dość nieoczekiwanie natrafiali na powieść ambicjami swymi wykraczającą poza schematy kryminalnej fabuły. Powieść Safjana zawiera bowiem wielce interesujący obraz społeczno-obyczajowych stosunków ujawnionych w środowisku prowincjonalnego miasteczka opanowanego przez „strach". Ów strach znaczy w powieści tyle, co konformizm, zgoda na układ sił rządzących miasteczkiem. Ludzie boją się, sieć wzajemnych zależności wciąga zarówno tych, którzy realizując swe interesy nadużywają władzy czy popełniają przestępstwa gospodarcze, jak i tych, którzy widząc je — milczą. Popełniona zbrodnia stanie się czynnikiem ów strach potęgującym. W tę atmosferę wkroczył przybysz z zewnątrz. Przypadkowo wciągnięty w główny konflikt rozpocznie poszukiwanie prawdy o nim i stanie się na tej drodze partnerem reprezentującego prawo prokuratora.

Powieść **Zbigniewa Safjana** przysposobił dla potrzeb filmu — **Zbigniew Safjan**, firmujący scenariusz. Film reżyserował **Antoni Krauze**, którego „Palec boży" spotkał się przed dwoma laty ze znakomitym przyjęciem. Nazwisko młodego reżysera, który w filmie tym ujawnił swą bardzo interesującą indywidualność, zapowiadało, iż powieść „Strach" znajdzie swą ciekawą filmową realizację, tym bardziej, że już jej laktura prowokować mogła do myślenia o filmie. Stało się jednak inaczej i nie sądzę, że jest to jedynie wina reżysera, to bowiem, co z powieści znalazło się w scenariuszu, otrzymało swój interesujący filmowy kształt. Rzecz w tym, że scenariusz wydobył głównie kryminalny wątek powieści, autor zrezygnował z szerszej ekspozycji tła owego wątku.

Wynik tego zabiegu to film, w którym pozostały jedynie sygnały tego, co w powieści najlepsze. Pozostały informacje o tym, iż źle dzieje się w miasteczku, bo zbyt wiele w nim wzajemnych zależności, bo są tacy, którzy kradną. Tytułowy strach sprowadzony został do jednego domu, w którym żyje z matką dziewczyna posądzona o zbrodnię. W ślad za tym zmieniono także motywacje postępowania poszczególnych postaci. Najwyraźniej widać to w przypadku naczelnika Waty. Mówi o tym w wywiadzie dla „Filmowego Serwisu Prasowego" sam autor powieści i scenariusza: **„W filmie Wata kłamie, ponieważ chce ratować przyjaciela, w powieści zaś kłamie także dlatego, że boi się ujawnić prawdę — niepopularną w środowisku, w którym się obraca... Przeciwko temu ogólnemu przeświadczeniu** (iż zbrodnię popełniła Agnieszka — przyp. E.N.) **Wata nie ma ochoty występować, uważa, że cena jest zbyt wysoka. Mą żyć z tymi ludźmi, ma z nimi pracować, bez nich niczego by nie zbudował. Bo on naprawdę buduje, bo tam naprawdę coś się dzieje, powstają nowe domy, nowe osiedla — aliści za wszystko to trzeba płacić jakąś cenę. Cenę ustępstw, cenę kompromisu, cenę zgody na takie lub inne ułatwienia moralne".**

Ta wypowiedź Safjana mówi o tym, czym film „Strach" mógł być, a czym nie jest. Nie jest, bo jego scenariusz zaproponował inną historię, niż ta, której obraz przynosiła powieść.

Tę scenariuszową historię Antoni Krauze opowiedział z właściwą sobie wnikliwością spojrzenia. Wiele scen obyczajowych i psychologicznych filmu „Strach" wskazuje na to, że Krauze należy do tych nielicznych w naszej kinematografii reżyserów, którym nie obca jest umiejętność odkrywania tego, co rzeczywiste w sferze życia społeczno-obyczajowego i w sferze wewnętrznego życia jednostki.

Filmowy „Strach", sprowadzony do roli opowieści kryminalnej, nie grzeszy nadmiarem sensacyjnych emocji, a jego wielki finał odstaje od prowadzących do niego wydarzeń, gdyż Krauze lepiej porusza się w materii obyczaju i psychologii niżeli w pozornie nadrzędnej dla tego filmu sensacyjności fabuły. Jest również Krauze reżyserem, który zwraca uwagę umiejętnością pracy z aktorem, co godne podkreślenia, gdyż uwaga ta dotyczy zarówno aktorów renomowanych jak i mało znanych z ekranu, dotyczy postaci pierwszoplanowych i epizodycznych.

Poprzedni, znacznie ambitniejszy film Antoniego Krauzego i film obecny świadczą o bezspornym talencie tego reżysera. Czekam jednak z niecierpliwością na taki jego nowy film, który będzie linią „Palca bożego" a nie „Strachu".

EWA NURCZYŃSKA

SPRAWY LUDZI

MÓJ KOŃ

Taki dzień jakby go nie było. Ani słońce, ani deszcz, ani pochmurno — wietrzność bez wiatru. Może to wiatr wspomnień. Piłem dziś herbatę w Klubie i zabrałem owinięte w papier kosteczki cukru. „To dla konia" powiedziałem. „Pan ma konia?" powiedziała kierowniczka i dała mi pełną garść opakowanych kosteczek cukru. „Nie, nie mam konia, ja znam konia, taki koń — kolega i lubi cukier, jak wszystkie konie...". Kłamałem — żaden koń nie koleguje ze mną od wielu lat i czort wie dla kogo zabieram cukier i dlaczego chwalę się znajomością z koniem. Myślę o tym w tym dniu prawie nie istniejącym.

Kiedy byłem małym chłopcem pewien pan, właściciel drogerii, okłamywał mnie mówiąc, że trzyma dla mnie na wsi kucyka. „Kiedy kucyk dorośnie, dostaniesz go, będziesz jeździł". Wierzyłem mu przez dwa — trzy lata, daremnie czekałem na kucyka. Pamiętam dzień na wiejskim podwórku, stałem samotny, zapatrzony w pojedyńczy promień słońca, przełamany kopcem gałązek. Nagle podszedł do mnie — wcale nie kucyk — wielki, zapracowany, zabiedzony koń. Delikatnie trącił mnie wargami w ramię. Pobiegłem do izby i przyniosłem mu garść kostek cukru. Kładłem kostki cukru pojedynczo na dłoni, a koń zabierał je wargami, ostrożnie i pewnie, bez śladu łakomstwa. Potem spacerował ze mną po podwórzu, po polu. Był to stary lekko kulawy koń, wiedziałem, że niedługo mu już popasać na białym świecie — tym częściej przynosiłem mu cukier, kradłem dla niego marchew z ogrodu. Nauczyłem się jeździć na nim — na co zgodził się z pozbawioną służalczości dobrocią...

Razem z koniem oglądaliśmy — daleko w polu — zachód słońca. Modliłem się wtedy, wierzyłem w moją nieśmiertelność, w moje zmartwychwstanie. „Tam" — myślałem patrząc na płonące zachodem niebo — „płonie wieczność". Ale była to wieczność otwarta tylko dla ludzi. Bóg i Syn Człowieczy obiecali ludziom wieczność, tego nauczyli mnie w szkole. Nikt jednak wszechmocny, a więc miarodajny, nie obiecał wieczności koniom. „Ty zostaniesz tutaj" mówiłem do przyjaciela klepiąc go po grzbiecie. „Ty zostaniesz tutaj, kiedy ja odejdę". Żal mi było konia — dla niego tylko umieranie, dla mnie nieśmiertelność. Wszystko wokół mnie ginie, jak ścinana trawa, tylko ja jestem niezniszczalny — dobry czy zły — zechcę, czy nie zechcę — będę nieśmiertelny.

Zeskoczyłem z konia i jego widok w ogniu zachodu był ostatnim z zapamiętanych. Jak mocny był tamten dzień — poczęty ogniem wschodu — zamknięty ogniem zachodu. Wypełniony powolną jazdą przez pola, smakiem cukru, zapachem trawy. Obecnością konia pogodzonego z tym zwięzłym bytem, który był mu dany. Owiany oddechem własnej nieskończoności i żalem, wielkim żalem, że nie spotkam konia w dolinie Jozefata, gdzie przy dźwiękach trąb ostatecznych pospieszę na Sąd.

To już koniec mego wspomnienia. Byłem wtedy niedorzeczny, bądź niedorzeczny jestem dzisiaj. Wtedy wierzyłem w świat i w zaświaty, dzisiaj nie wierzę w zaświaty i powiem bardzo cicho, nie wierzę w świat. Cóż za różnica pomiędzy tym, co tylko pomyślane, a tym co i pomyślane, i żyjące, bądź żyjące, mimo że nie pomyślane. Codziennie patrzę na własne kalekie, wielokrotnie w obozie odmrażane ręce. Codziennie, budząc się, nie wiem gdzie i kim jestem, wołam wtedy po imieniu żywych, albo umarłych.

„Proszę pani — jeszcze kilka kostek cukru dla mojego konia".

BERNARD SZTAJNERT

TELEWIZJA

KUCHNIA POLSKA

Jest rzeczą zastanawiającą, że długotrwała kariera cyklicznej powieści rodzinnej, by wymienić przede wszystkim „Matysiaków", jest u nas możliwa — jak do tej pory — jedynie w radiu. W telewizji podobna historia dotychczas nie zdarzyła się. Próby w rodzaju „Wojny domowej" miały charakter przelotny i mało kto dziś o nich pamięta. Można by tłumaczyć to zjawisko odmiennym charakterem obu środków przekazu — zgodnie ze znaną McLuhanowską formułą. Radio bowiem dzięki swojej bezcielesności aktorskich wcieleń posługujących się jedynie głosem znakomicie uwierzytelnia prezentowane postacie, które istnieją jedynie w fonicznym wymiarze. Fikcyjny bohater na antenie radiowej wysuwa się niejako przed aktora, unieważnia jego fizyczność, która na ekranie kinowym czy telewizyjnym powtarza się w całej pełni, czyli tym samym zdradza fikcyjny charakter postaci. Ogromny w skali społecznej sukces „Matysiaków" polegał i polega na tym nie do końca uświadomionym przeświadczeniu odbiorczym, że to z prawdziwą rodziną spotykamy się co tydzień, że mikrofon radiowy podsłuchuje ich prawdziwe rozmowy, że Matysiakowie istnieją naprawdę. Dzieje społecznej recepcji „Matysiaków" przynoszą wiele barwnych i zaskakujących dowodów potwierdzających ten stan świadomości odbiorczej. Jednakże specyfika radia nie jest bynajmniej wyłączną przyczyną tego zauroczenia. Ona jedynie potęguje realistyczny charakter familijnej powieści. Natomiast najistotniejszym podłożem tego sukcesu jest scenariusz dyktowany przez szare, codzienne życie, przez aktualne zdarzenia, które przeplatają się z fikcyjnymi losami.

Socjalne znaczenie tego rodzaju powieści radiowej jest trudne do ocenienia i wymierzenia. Fikcja, która tak nieomal namacalnie żywi się potocznością jest nie tylko żywym odzwierciedleniem pewnego typu mentalności, ale także świetną okazją do jej projektowania, do wyznaczania sfery wartości, do wpływania na kształt obyczajowości, a także do społecznej krytyki.

Nie miejsce tutaj, aby zastanawiać się nad tym, z jaką skutecznością „Matysiakowie" zdają egzamin z pedagogiki społecznej. Przypomnę tylko, że kilka lat temu Krzysztof Teodor Toeplitz napisał krytyczny pamflet pt. „Historia wielkości i upadku rodziny Matysiaków", w którym poddał radiową powieść druzgocącej krytyce, przypisując jej autorom i bohaterom anachronizm, oportunizm, drobnomieszczaństwo, umysłową ciasnotę itp. A przypominam to zdarzenie dlatego, że nie kto inny jak KTT jest współautorem nowego serialu TVP „Czterdziestolatek", serialu, którego założenia, kształt i bohaterowie zbliżają się w stronę telewizyjnej „sagi". Wszystko wskazuje na to, że serial ten chwycił, a to znaczy w tym wypadku, że ludzie znaleźli w nim tzw. „samo życie", prawdę znaną nie z gazety, ale z ulicy, biura czy sklepu. Jednym słowem „Czterdziestolatek" dzieje się w społeczeństwie a nie na Księżycu. I to już jest bardzo duża zasługa realizatorów, ale zasługa mierzona jedynie w skali polskiej kinematografii, której temat współczesny od lat nie wychodzi. Jeżeli bowiem we współczesnym filmie polskim bohaterowie poruszają się jak manekiny i deklamują pretensjonalne kwestie to „Czterdziestolatek" uderza prostotą i naturalnością aktorstwa, żywym dialogiem uczulonym na humorystyczną inwencję potocznego języka i dobrą znajomością naszej rzeczywistości. Komplementy te, a zwłaszcza ostatni, mogą brzmieć nieco zaskakująco, lecz — powtarzam — w urojonym świecie, który wyłania się z przeważającej większości polskich filmów współczesnych, te elementarne zdawałoby się, zasady filmowego warsztatu stają się progiem niebotycznym i dlatego zasługują na uznanie.

Na tej podstawowej wiarygodności autorzy budują satyryczny obraz „życia po polsku". Jest to obraz, w którym satyryczne intencje są pochodnymi statystycznych parametrów, w jakich mieści się bohater i jego otoczenie. Tytułowy bohater jest przedstawicielem inteligencji technicznej, na której barkach — jakby on sam powiedział — spoczywa w dobie rewolucji naukowo-technicznej przyszłość naszego kraju. Jest właścicielem małego fiata, żony i dwojga dzieci. Przedstawiciel pokolenia, które od wczesnych lat młodzieńczych z pieśnią na ustach budowało Polskę Ludową. Obecnie — i to jest fabularna siłą napędowa każdego odcinka — przeżywa perypetie związane z wkraczaniem w „smugę cienia", a także zbiera efekty swojej pracy. Ta skrótowa charakterystyka jest sucha jak każdy wykaz statystyczny, ale ten typowy życiorys mieści w sobie mnóstwo obserwacji obyczajowych, psychologicznych, moralnych, a także politycznych, każdy kolejny odcinek jest wnikliwym zapisem stanu zbiorowej świadomości schwytanej na gorąco tutaj i teraz w całej niepowtarzalnej egzotyce. Uważny czytelnik cotygodniowych felietonów KTT w „Kulturze" publikowanych pod tytułem „Kuchnia polska" odnajdzie w „Czterdziestolatku" jej zapach i smak, tę samą wyobraźnię socjologiczną i tę samą inteligencję szydercy na tropach anomalii, paradoksów i absurdów naszej społecznej egzystencji.

„Czterdziestolatek" skończył się, ale jego autorzy przystąpili do realizacji nowych odcinków. Będzie zatem jeszcze okazja, aby powrócić do tego tematu.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

OBYCZAJE

RYSZARD BIŃKOWSKI

PARSZYWE KINO

W zamkniętej dłoni trzymał monetę. Patrzył na żonę. Skwapliwie przytaknęła.

— Masz — mruknął. — Ale żeby było z koleżanką. I tu, na miejscu!

Dziękując nieśmiałym uśmiechem wzięła od ojca te dziesięć złotych i wyszła kołysząc biodrami.

Zgrabna sztuka, mówią chłopaki, biust i podwozie ekstraklasa. A twarz dziecka. Trochę tępawa. Poza tym czarne włosy spięte w koński ogon, nos, trochę za mięsisty, lecz usta ładne, lekko rozchylone. I gdyby nie ta nieporadność w mowie, dziwaczne gesty, uśmiechy głupkowate, jakby zaczepne, wszystko byłoby z nią w porządku.

Tak myśli o Jance matka. Z czułością macierzyńską. I dlatego zezwoliła na to kino. Kawał do sezonu i w podłódzkim letnisku martwota. Ma się nudzić dziewczyna w to żałosne popołudnie niedzielne? Nie ma co skąpić, bo kto wie, ile ona może skorzystać z życia.

Matka urodziła troje. Jak chodziła z Janką, uległa przykremu wypadkowi. No i dziewczyna od urodzenia taka jakaś ni w pięć, ni w dziewięć. Pannisko już, a ma coś tam z pęcherzem i moczy się w nocy.

Tak sobie myśli matka. Z macierzyńską czułością. A tymczasem Janka staje na przystanku. Rozgląda się i widzi, że koleżanki nie ma. W miejscowym kinie na pewno jakiś stary, kiepski film. Dla Janki to bez znaczenia. Popatrzy na latające obrazki, mało co zapamięta, jaka więc dla niej różnica. Ale bardzo chciałaby gdzieś dalej. Gdyby tak obejrzeć miasto w niedzielę?

Rusza na dworzec. Wsiada do pociągu i jedzie do miasta. Na spotkanie, jak to się mówi, wielkiej i nieznanej przygody...

2.

Jest w mieście. Idzie sobie szeroką ulicą, wybujała jak na swoje szesnaście lat, ogląda wystawy. A naprzeciw dwóch takich. Dwudziestoośmioletni Kazik, klas siedem, ojciec dzieciom, z zawodu kierowca, pracujący jako ładowacz i trzydziestoośmioletni Gienek, klas siedem, żonaty, lecz bezdzietny, drwal. Kazik odwiedził w szpitalu kumpla Grudę, który leży po operacji. W kieszeni niesie klucz do jego mieszkania.

Opiekująca się Janką lekarz neurologii dziecięcej mówi, że dziewczynka chętnie obdarza obcych przyjaznym uśmiechem. Przeto nic dziwnego, że kiedy mijają się, Janka uśmiecha się do Kazika.

— Ty, ona się śmieje — mówi zaskoczony Kazik.

— Do miłości trzy kroki, a do pudła dwa — paruje Gienek.

— Pójdę bynajmniej zrobić z nią zapoznanie.

No i podchodzi.

— Jak jest? — pyta.

— Dobrze jest — bąka Janka.

Wymieniają imiona.

— A kino byś zaliczyła?

— Mhm...

— Ty, ona chce kina! — krzyczy do Gienka ucieszony Kazik.

Ida. Jest siedemnasta, więc Kazik kupuje dwa bilety na dziewiętnasta. Spacerują dla zabicia czasu. Raptem Kazikowi zbiera się na inny seans. Janka chce do kina, ale Kazik radzi jej po ojcowsku ciszę, bo jak nie, to jej zaraz zdemoluje twarz. Pcha Gienka z kluczami i Janką do mieszkania, sam zaś skacze po wino.

Pod groźbą spraktykowania damskiego boksu wlali w dziewczynę szklankę wina, po czym rozebrali do naga i rzucili na łóżko. Nie miała pojęcia, czego chce kładący się na niej Kazik. Broniła się przed uduszeniem, bo myślała, że to właśnie to. Płakała, kiedy Gienek rozszerzył jej na siłę nogi. Trwało to długo, z Gienkiem krócej, ale już nie płakała, bojąc się bicia.

Gienek wyszedł, zamykając drzwi na klucz. Kazik ponowił próby. Najpierw całował, to było nawet przyjemne, a już całkowicie rozbawiło ją ssanie, po którym zostało na szyi kilka „malinek". Mogła potem śmiało wyznać Andrzejowi, że nie jest dziewicą, bo ją dwóch sk... wyruchało i pogryzło.

Ale później zaczęło się to bolesne. Płakała i krzyczała. Ktoś łomotał do drzwi. Żona Kazika, z którą on nie żyje, Kazik wrzasnął, żeby przyszła za piętnaście minut, bo jest zamknięty.

Odeszła i nie wróciła. Wrócił natomiast Ginek. Rozdział się, legł obok obnażonej pary i zaraz nabrał ochoty, ale Janka już nie pozwoliła. Całkowicie wycieńczona przygodą z kinem, zasnęła twardo. Nawet nie zauważyła, że nad ranem Kazik wyszedł do pracy.

3.

Ojciec patrzył krzywo na matkę. Przeklinał w myślach tę monetę dziesięciozłotową i tę czułość macierzyńską.

— Mówiłem, żeby dziecka nie puszczać samego na wieczór! — wybuchnął.

— Wielkie rzeczy! Zasiedziała się gdzieś u koleżanki i tyle.

— No to, proszę bardzo, idź i poszukaj!

— Ja?

— A kto ją puścił do kina? Ja może?

— Nie wstyd ci, żeby kobieta tłukła się nocą po lesie?

Nacisnął czapkę i poszedł. Matkę ogarnął niepokój. Koleżanka jakoś nie pasowała w tej historii. Bo Janka to odludek. W szkole nie ma z nią kłopotów wychowawczych. Jest nieśmiała, dziecinna na swój wiek, lękliwa. Chłopcami się nie interesuje. A dziewczynki? One też jej unikają, bo nie mogą z nią nawiązać kontaktu. Bąknie, jakieś niedorzeczne słowo, zamilknie i gadka się rwie. Janka to żaden materiał na koleżankę.

Wrócił ojciec. Obleciał rodziny dziewcząt, znajomych, krewnych, i nigdzie ani śladu...

— Pojechała do miasta. Widzieli, jak wsiadała do pociągu.

Matka pomyślała, że to jeszcze nie powód do tragedii. Janka chodzi do ósmej klasy szkoły specjalnej. Z początku ją odwozili, ale kiedy zauważyli, że jakoś sobie radzi, zaczęła jeździć sama. Wprawdzie nieraz coś jej nie wychodzi, na przykład nie kupi w sklepie tego, co trzeba, nie potrafi się rozliczyć z pieniędzy, ale trafić z miasta do domu zawsze potrafi.

— Mogła zanocować u jakiej nauczycielki w mieście — powiedziała matka.

— A jeśli, nie daj Boże, wpadła pod coś?

O czwartej nad ranem ojciec pojechał do komendy i złożył meldunek o zaginięciu. Nikt nic nie wie. W ciągu następnego dnia też żadnej wiadomości. Nie mogło być tej wiadomości, ponieważ w mieście znalazł się jeden sierota, szukający ciepła i przyjacielstwa. Na imię było mu Andrzej. Kawaler, lat dwadzieścia jeden, z zawodu kierowca, nie pracujący.

Kiedy wymietli go z roboty w pekaesie, ojciec wymówił mu kwaterę. Andrzej kimał u kolegów w Aleksandrowie, na dworcach, u babci i poznanych przypadkiem kobiet. Kiedy rankiem trzeciego marca Gienek wyprowadził Jankę, wystraszona i głodna dziewczyna, koło sklepu jubilerskiego, przy tzw. „dziadku" uśmiechnęła się do Andrzeja...

4.

Pani psycholog mówi, że Janka jest uległa i bierna. Z łatwością ulega poleceniom, szczególnie pod groźbą kary cielesnej. Kiedy więc Andrzej chwycił ją za rękę i powiedział, żeby szła spokojnie, bo dostanie po pysku, to poszła. Prosto do warsztatu napraw samochodowych. W warsztacie urzędował Zbyszek, lat dwadzieścia siedem, po dwóch klasach zawodówki, który wynajął tę budowę do prowadzenia robót blacharskich. Zbyszka żona w szóstym miesiącu ciąży.

Najpierw wino, potem dodatek kulturalny. Zbyszek mianowicie wyciągnął plik zdjęć ze świństwami w powiększeniu oraz jeszcze bardziej świńskie czasopismo szwedzkie. Janka pierwszy raz w życiu coś takiego widziała, ale powiedziała, że fajne jest. Ucieszony Andrzej na to, że zaraz zrobią sobie numerek. Ale, że facet z niego brzydliwy i higienista, to przytachał wiadro wody, nalał do miednicy, podgrzał i polecił Jance obmyć się dokumentnie. Jak się myła, a była w samej halce i biustonoszu, to jej nawet nie podglądał.

W warsztacie za przepierzeniem stał tapczan, na którym higienista Andrzej położył ceratę, a na niej Jankę. Obok on. Ponieważ jednak stracił kondycję poprzedniej nocy u jednej Łukaszowej, najpierw Jankę rozebrał doszczętnie, a potem zaczął się sztucznie podniecać. Zdenerwował się, wstał, wyciągnął z płaszcza Janki legitymację szkolną i powiedział do Zbyszka, że z dokumentów wynika, iż Janka ma źle w głowie. Co go zresztą zdopingowało do ostrego działania. Dziewczyna zaczęła głośno płakać i wzywać pomocy, lecz usłużny Zbyszek natychmiast włączył na cały regulator radio, bo akurat wpadło z roboty dwóch taksiarzy, a następnie zamknął furtkę na klucz, żeby nikt nie przeszkadzał Andrzejowi w ćwiczeniu przeróżnych numerków. Kiedy Janka krzyczała z bólu, Andrzej wyciszał ją pięścią.

Potem wywiózł ją do Aleksandrowa, gdzie w knajpie „Kamila" kupił jej zupę i herbatę. Z kumplami pił wino w polu. Dostał trochę ogórków i jakieś kotlety i przyjechali do Łodzi, a wieczorem wrócili do warsztatu, który był zamknięty. Weszli więc do „Nyski", zjedli, po czym Andrzej, wpółleżąc, dopuszczał się czynów nierządnych, chwytając dziewczynę za kark i przyginając jej głowę do podbrzusza. Ten numer jednak nie wyszedł, ponieważ do „Nyski" co rusz wtarabaniał się jakiś pijany facet, którego trzeba było odpędzać.

Nazajutrz, czwartego marca, pojechali autobusem do babki w okolice Widawy. Andrzej cały czas trzymał Jankę za rękę i syczał jej do ucha o mordobiciu. Zwłaszcza, gdy przejeżdżali obok jej domu. Pozwolił tylko za pieniądze, które dostała od ojca na kino, kupić ciastka i oranżadę. U babki pili wino. Babka im przeszkadzała. Dopiero wieczorem, gdy zasnęła, Andrzej odbył z Janką dwa normalne stosunki. Nie krzyczała, bo mógł ją na przykład udusić.

Późno wrócił brodaty syn babki, Wiesiek. Powiedział Andrzejowi, że może się napić wódki w podwórku. Gdy Andrzej wyszedł, Wiesiek położył się obok Janki, która poczuwszy obcą brodę, narobiła wrzasku. Babka obudziła się, sklęła ich cholernie i wypędziła z domu.

5.

Ojciec prowadził prywatne śledztwo. Piątego marca, około godziny siedemnastej zobaczył przed pijalnią piwa trzech facetów. Była z nimi Janka. Milicjanta nie było w pobliżu, toteż stary postanowił śledzić tamtych z nadzieją, że doprowadzą go do jakiejś meliny.

Janka oddaliła się z Andrzejem. Ojciec podszedł do tych dwóch, jeden szczupły, kędzierzawy blondyn w czerwonej beretce, drugi wyższy, w zielonym płaszczu, i spytał, jak się nazywa pan, który odszedł z panienką. Powiedzieli, że nie wiedzą.

Ruszył za córką. Za nim, po drugim chodniku, szedł zielony płaszcz. Przekroczył jezdnię i spytał go, kto to jest tamten. Zielony odepchnął starego i oddalił się szybko. Z tyłu kroczył czerwona beretka. W tym momencie Andrzej z Janką zawrócili. Córka poznała ojca, rzuciła mu się w ramiona i tuląc się, i płacząc, opowiadała nieskładnie, co zaszło. Była brudna, włosy potargane, głodna.

— Ładnie pan zrobił — powiedział ojciec idąc za Andrzejem.

— Odczuwaj, dziadek, nie znam cię — burknął Andrzej. Skoczył do przechodniej bramy i zniknął.

Janka zaprowadziła ojca do warsztatu samochodowego. Trudno jej było odnaleźć mieszkanie Grudy. Pamiętała drewniane schody, zapaćkane ściany, brudną pierzynę i ból, przejmujący ból, i Kazika...

Matka domyśliła się wszystkiego. Zapadła twarz, podkrążone, czerwone oczy i bielizna brudna od moczu i krwi. Wyprała wszystko, niszcząc dowody rzeczowe, ale pani ginekolog nie miała wątpliwości: świeże uszkodzenia błony dziewiczej i krwawe otarcia śluzówki sromu.

Matka przeklina tamtą niedzielę. I to parszywe kino.

A dziewczyny chodzą do kina. Normalne dziewczyny, którym również grozi niebezpieczeństwo, bo gorsi niż parszywe kino są parszywcy z gatunku Kazia i Andrzeja. Groźni zwłaszcza dla Janki, dziewczyny z ubogim zasobem słów, bezkrytycznej, z niedorozwojem umysłowym stopnia lekkiego, jak to określają fachowcy.

Matka przeklina parszywe kino. Ale ona nie będzie żyć z tą czarną plamą, w wiecznym lęku i nieufności.

Matka mówi, że nie wyjaśniała córce nic ze spraw seksualnych. Ze względu na jej niedorozwój umysłowy. Ona nawet przy pierwszej miesiączce nie wykazywała żadnego zainteresowania i nie chciała nosić opaski higienicznej.

Matka mówi, że do takiej i tak by nic nie dotarło.

Sąsiedzi mówią, że nikomu na myśl nie przyszło, żeby Jance mogło się coś takiego przytrafić. No bo kto by na taką poleciał?

LISTY

„TŁUMACZE"

W numerze 23 z br. tygodnika „Odgłosy" niepodpisany, a więc anonimowy, żartowniś zakpił sobie z mej skromnej osoby w notatce pt. „Tłumacze". Stylistyczne ujęcie notatki sporządzonej niedokładnie, brak numerów pism o które chodzi, wskazuje na mnie jako tego, który przestępcę zamienił w inspektora policji. Można oczywiście się z tego „wykręcić sianem", ale właśnie w ten sposób odebrali ją moi koledzy w redakcji. Nie muszę dodawać, że takie złośliwości nie wpływają korzystnie na napływ dalszych zamówień na tłumaczenia w moim wykonaniu.

Otóż zanim się zacznie kpić wypadałoby zgodnie z dobrymi obyczajami sprawdzić tekst oryginalny. W tekście m. in. przedrukował moje tłumaczenie „Magazyn Polski" — i w oryginale bohater opowiadania kryminalnego jest jednocześnie i przestępcą i policjantem — pointa opowiadania jest logiczna i jej zawdzięcza ten tekst swój „smaczek". Jakby kpiarz chciał się — choć późno wziąć do roboty — to polecam „Bunte" z ub. r. IV kwartał. Stawiający zarzuty musi je udowodnić, a ponieważ nie jest to możliwe uważam, że Redakcja jest mi winna sprostowanie lub małe słowo — przepraszam.

Pozostaję z szacunkiem i przesyłam koleżeńskie pozdrowienia.

LESZEK WIECKO
(RZESZÓW)

ZDUŃSKA WOLA

W wartościowej pracy doc. dr J. Śmiałowskiego o Zduńskiej Woli, recenzowanej w ubiegłym roku w „Odgłosach" nr 35, 29.VIII.1974 s. 11, znalazły się dwie nieścisłości zasługujące chyba na sprostowanie.

Według autora (str. 223) „Do 1899 r. nie miała Zduńska Wola księgarni i czytelni. Pierwszą księgarnię i czytelnię otworzył w kwietniu tego właśnie roku Kokowski".

Tymczasem ponad pół wieku wcześniej w 1841 r. założono w tymże mieście pod firmą Józef Safir & Comp. księgarnię wraz z czytelnią. Wypożyczano książki zarówno polskie jak i niemieckie. („Kurier Warszawski" nr 3, 3.I.1841 s. 15).

Podobnie z apteką. Na str. 200 monografii czytamy: „Pierwszą aptekę otworzył w Zduńskiej Woli jeszcze przed 1852 r. Henkelman. W końcu XIX w. prowadzili ją jego spadkobiercy".

W rzeczywistości mieszkańcy miasta korzystali z usług farmaceutów już w 1832 r. Dokument z tej daty wymienia Edwarda Bazana obywatela miasta Zduńskiej Woli, mającego tamże własną aptekę. (Archiwum Państwowe Miasta Łodzi i Województwa Łódzkiego, m. Zduńska Wola Akta Urzędu Stanu Cywilnego, 1832 r. śluby akt 11).

KAZIMIERZ SARNECKI
(ŁÓDŹ)

DENERWUJE MNIE TO!

Czytam „Odgłosy" od pierwszego numeru i cieszę się, że tak się rozwinęły, dojrzały i urosły, że przybyło im tyle znakomitych piór i talentów. Brawo!

Ale ciągle mnie denerwuje zbyt duża ilość błędów czyli brak inteligentnej, odpowiedzialnej korekty — korekty wszechstronnej, nie tylko graficznej i ortograficznej. Oto np. w numerze 24 notatce „U przyjaciół" mamy wzmiankę o zamku Kochberg, gdzie „Goethe gościł często w końcu lat 70—tych ub. stulecia..." Chyba to był duch Goethego, który podobno zmarł w roku 1832!!!

Dalej: w tym samym numerze Ryszard Bińkowski pisze bardzo ciekawie o miłym memu sercu Kaliszu. I oto czytamy, że „wczesnogotycki kościół franciszkanów z połowy XII wieku, fundowany przez Bolesława Pobożnego"... Otóż proszę bardzo: w każdym podręczniku historii Polski stoi, że książę ten zmarł w roku 1279, jakże więc mógł był fundować kościoły w połowie XII wieku? Chyba, że pożył sobie „galancie" z łaski Bożej, tj. ze 200 latek?!

Ten sam autor, w tym samym reportażu pisze: „Kościół św. Mikołaja fundowany przez Henryka Pobożnego po roku 1253! A przecież każde dziecko w szkole podstawowej ma wiedzieć, że Henryk Pobożny zginął pod Legnicą w roku 1241!!! Coś tu autor nie miał szczęścia do „pobożnych książąt.

Gdybym dobrze poskrobał, znalazłbym więcej usterek i błędów rzeczowych w tym jednym tylko numerze.

No cóż? Należy życzyć Redakcji dalszych sukcesów w rozwoju tygodnika i tego jeszcze, żeby więcej nie drukował takich plugawych wspomnień, jak to Jana Huszczy pt. „Tabu". Komu to potrzebne i co to warto! Tego numeru nie mogłem dać do przeczytania moim córkom — nastolatkom. Chciałem im tego oszczędzić!

Łączę pozdrowienia

Dr. WŁ. KOWALSKI

TYDZIEŃ PLASTYKI I CO DALEJ?

„Chodzi przecież o miasto, o jego wygląd, o sprawy dla jego mieszkańców ważne" — napisał pan Andrzej Grun komentując wywiad z naczelnym plastykiem m. Łodzi. Podzielam niepokój AG.

Wyobraźmy sobie jednak, Tydzień Plastyki łódzkiej w 1976 roku. Kupujemy „Odgłosy", a w nich, obok wywiadu z naczelnym plastykiem znajdujemy listę prac zrealizowanych przez jego Urząd. Przy każdej wykonanej pracy, nazwiska jej autorów. Z „Odgłosami" w ręku udajemy się na długi spacer. Od tego też roku publiczne rozliczanie się z prac prowadzonych na użytek miasta, staje się powszechnym obyczajem jego mieszkańców.

Myślę, że naczelny plastyk m. Łodzi, podziela również mój futurystyczny optymizm.

GRAŻYNA MARIA MIKINA

„KALISZ"

W 24 n-rze „Odgłosów" ukazała się niepodpisana notatka o Kaliszu, gdzie m.in. można przeczytać, że teatr w tym mieście powstał w 1835 roku i przez długi czas związany był z działalnością Wojciecha Bogusławskiego. Jak wiadomo, teatr w Kaliszu powstał w 1800 roku za sprawą W. Bogusławskiego, który zmarł w roku 1829...

Okazuje się, że dawny apel Juliana Tuwima — sprawdzać, panowie żurnaliści, sprawdzać! — nic nie stracił na aktualności.

Z wyrazami poważania
STANISŁAW KASZY[illegible]
(Łódź)

„DZIURAWIEC"

Jestem żołnierzem i stałym czytelnikiem „Odgłosów". Zawsze czytam tę gazetę od deski do deski. Z uwagą przeczytałem też artykuł Konrada Frejdlicha pt. „Dziurawiec". Wprost nie mieści mi się w głowie, jak za taką zbrodnię — zbrodnię największą chyba — mógł sąd dać taki wyrok. Przecież to było dziecko. Ja sam, choć jestem w wojsku, mam syna. Jest to syn nieślubny. Swoją dziewczynę kocham — a dziecko... Przecież to oczywiste. Nie pozwoliłbym nikomu ręki na nie podnieść. A jeśliby tak się już stało, to nie wiem co zrobiłbym, aby osoba ta poniosła wszelkie konsekwencje swojego czynu. Solidaryzuję się z autorem w kwestii ostatniego akcentu artykułu. Być może to wygląda głupio, ale właśnie teraz, w tej chwili, odczułem potrzebę podzielenia się swoją opinią.

Z poważaniem
st. szer. JERZY M.

U PRZYJACIÓŁ

W obwodzie woroneskim bardzo popularne są ludowe miniatury muzyczno-taneczne: liryczne, żartobliwe i zawadiackie. Wielbicielami starych piosenek i tańców są członkowie woroneskiego zespołu młodzieżowego o poetycznej nazwie „Łada".

Każdy koncert zespołu przypomina przedstawienie rewiowe: skocznie brzmią różne instrumenty — kołatki, piszczałki, gęśle, wirują w tańcu dziewczęta w kolorowych safranach, dźwięczą dziarskie pieśni weselne i przyśpiewki.

Zorganizowana w roku 1969 „Łada" jest zespołem amatorskim. Należą do niego młodzi robotnicy, studenci, uczniowie. Oprócz bogatej działalności koncertowej, artyści tego zespołu nagrywają stare melodie ludowe, odtwarzają stare tańce, projektują kostiumy i rekonstruują instrumenty. Zespół ten występuje często w zakładach pracy, w sowchozach i kołchozach. Za wysoki poziom reprezentowany przez „Ładę" zespół nagrodzono dyplomem na Festiwalu Zespołów Folklorystycznych w roku 1971 w Jugosławii.

* * *

Już od drugiej połowy ubiegłego stulecia — miasta Peszt i Buda czyniły wysiłki, aby znaleźć godne miejsce w europejskiej kulturze muzycznej. Wiedeń uchodził za przykład godny naśladowania. Artyści światowej sławy chętnie występowali tak w Peszcie jak i w Budzie. Dużą zasługę w przyciąganiu tu sław muzycznych mieli Ferenc Erkel, ojciec narodowej opery węgierskiej oraz Franciszek Liszt.

Nic też dziwnego, że w latach sześćdziesiątych XIX wieku coraz częściej rozlegały się głosy o powołanie centralnego instytutu muzycznego. W 1873 roku parlament węgierski zatwierdził nawet odpowiednie sumy na zorganizowanie „Akademii Krajowej". Realizacja tego zamierzenia uległa jednak zwłoce, na skutek intryg wpływowych kół wiedeńskich, które obawiały się konkurencji ze strony Budapesztu.

W 1875 roku wręczono Franciszkowi Lisztowi nominację na prezesa Królewsko-Węgierskiej Akademii Muzycznej, dyrektorem natomiast mianowany został Ferenc Erkel. Akademię otwarto jesienią 1875 roku w śródmieściu Pesztu, liczba studentów wynosiła 38 osób. W 1907 roku Akademia Muzyczna doczekała się własnego gmachu dostosowanego do jej potrzeb. Koszt budowy wyniósł 2,5 miliona koron. Akademia dysponuje od tego czasu salą koncertową na 1200 miejsc, salą kameralną, pomieszczeniami do nauki, salami prób itp.

Po śmierci Liszta (1886 r.) i Erkela (1893 r.) kierownictwo uczelni objął Odön Mihalovics. Funkcję tę spełniał do 1919 r. Dzięki niemu uczelnia zdobyła europejską rangę. Na profesorów powołał takie znakomitości jak Jenö Hubay, Ernö Dohnanyi, Bela Bartok, Zoltan Kodaly i Leo Weiner. Obecnie Akademją kieruje Denes Szabó.

Budapeszteńska Akademia Muzyczna, która uważa się za spodkobierczynię tradycji Liszta, umożliwiła start niejednemu artyście, który później zdobył światową sławę. Z reform wprowadzonych na uczelni na uwagę zasługują dwie. Pierwsza — dziesięcioletnie studia dla szczególnie zdolnej młodzieży, która ma dostęp do Akademii mimo nauki w szkole średniej. Po zdobyciu matury uzyskują immatrykulację i studiują razem z tymi, którzy dopiero po ukończeniu szkoły średniej dostali się na uczelnię. Wszyscy studenci po ukończeniu szóstego semestru uzyskują dyplomy nauczycieli muzyki, które upoważniają do nauczania w szkołach średnich bądź muzycznych, względnie zostania członkiem orkiestry. Wybijające się talenty, które mogą sprawdzić się jako soliści, dyrygenci lub kompozytorzy, studiują dalsze dwa lata uzyskując dyplom artysty i nauczyciela. Mogą kształcić się jeszcze dalej, jeżeli chcą osiągnąć dziesięć lat studiów muzycznych.

Budapeszteńska Akademia jest od wielu lat uznaną instytucją o międzynarodowym znaczeniu. Doceniła to Rada Prezydialna Węgierskiej Republiki Ludowej i przyznała uczelni status uniwersytetu. W roku akademickim 1973/74 ukończyło tu studia pięcioletnie — 392 studentów, a studia trzyletnie — 458 osób.

* * *

W Ostrawie w Czechosłowacji ukazuje się pismo w języku polskim „Głos Ludu". Jego zespół redakcyjny odznaczony został niedawno medalem pamiątkowym z okazji 30 rocznicy Słowackiego Powstania Narodowego, Majowego Powstania w Pradze i wyzwolenia Czechosłowacji przez Armię Radziecką. Medal ten przyznany został przez KC KPCz. i KC Frontu Narodowego CSRS. Redaktorem naczelnym tego pisma od wielu już lat jest Stanisław Kondziołka.

MÓZG W KASECIE

Wtargnęły niepostrzeżenie w nasz świat z górą dziesięć lat temu. Nie ma ich jeszcze zbyt wiele. Jednakże specjaliści przypuszczają, że ten proces rozwojowy jest nieodwracalny i że liczba tych „przybyszów" będzie rosnąć z roku na rok. Zbliża się era robotów...

W Stanach Zjednoczonych — jak podaje „Science et Avenir" — trwają prace nad konstrukcją automatu wyposażonego w metalowe ręce. Będzie on „widział" dzięki laserowi i dwóm kamerom telewizyjnym. Mózg ludzki zastąpi miniaturowy komputer zaprogramowany na odpowiedni obraz, a nogi — koła. Konstruktorzy postanowili udowodnić, że robotowi można powierzyć badanie tak oddalonej planety, jak Mars, bez nieustannego przesyłania mu instrukcji. Ale ów Marsjanin jest tylko prototypem takich automatów, które na Ziemi zaprzęgnie się do pracy w środowisku niebezpiecznym dla człowieka.

Z konstrukcją tych mechanicznych „ludzi" wiąże się przyszłą eksploatację bogactw dna morskiego, badania głębi ziemi oraz przestrzeni kosmicznej. Uczeni sądzą, iż uda im się wyposażyć te maszyny w umiejętność analizowania sytuacji i dokonywania wyboru we własnym zakresie. Robot będzie zbierać odłamki skalne, obejdzie skałę nie zaczepiając o nią, będzie się umiał posuwać w różnych warunkach terenowych omijając kratery i szczeliny. Specjaliści w krajach daleko zaawansowanych w budowie tych skomplikowanych automatów, przede wszystkim w Związku Radzieckim i USA, przypuszczają, że ich prototypy będą wypróbowane już latem tego roku. Jednakże ich młodsi bracia, bardziej wszechstronni będą gotowi dopiero około 1985 roku.

Robot konstruowany obecnie w Anglii ma trzy „ręce" uzbrojone w uchwyty, jedno „oko", którym jest kamera telewizyjna oraz komputer wmontowany w korpus. „SIRKH" — tak nazwali go jego twórcy — potrafi wyszukać wśród sześciu detali — dwa pasujące do siebie i złączyć je ze sobą. Inny brytyjski prototyp robota — „Fred" — przypomina z zachowania 4-letnie dziecko. Dzięki odpowiedniemu zaprogramowaniu może złożyć dziecięcy samochód ciężarowy z rozrzuconych w nieładzie części, bez pomocy „dorosłego". Rozpoznając bez trudu jedną część samochodu po drugiej „Fred" składa je w odpowiedniej kolejności. Inny brytyjski uczony skonstruował kilka zdumiewających automatów. Jeden z nich jest umieszczony na fotelu na gąsienicach, co pozwala mu wchodzić na schody, inny zastępuje człowieka w podziemnych chodnikach, jeszcze inny robot „umie" zbierać naczynia ze stołu...

Nie wszystkie te maszyny są już przygotowane do eksploatacji, a niektóre z nich znajdują się dopiero w stadium eksperymentalnym. Ale na przykład w Japonii, w jednej z jednostek straży pożarnej w Jokohamie pracuje już mechaniczny strażak. Samodzielnie porusza się w płomieniach i trujących dymach i manipulując rękami - uchwytami gasi ogień. Jedynym przeznaczeniem tych maszyn przyszłości jest zastąpienie człowieka przy niebezpiecznej pracy.

W fantastyce naukowej — pisze Fabian Grué w „Science et Avenir" — robot jest mechanicznym niewolnikiem gotowym do wykonywania wszelkich usług. Dla przemysłowca jest to tylko urządzenie automatycznie sterujące procesami produkcji, które można przeprogramować w zależności od cyklu produkcyjnego. Robot traci na uroku, ale zyskuje na efektywności i tylko w takim kształcie może istnieć.

Dziś jedyną charakterystyczną cechą robota, w porównaniu ze zwykłą automatyką stosowaną w produkcji, jest możliwość jego przeprogramowania do wykonywania innej operacji. Stąd wypływa możliwość wypuszczania nowego wyrobu nie łamiąc cyklu produkcyjnego i nie przestrajając taśmy montażowej. Nie umiejąc samodzielnie podejmować decyzji, robot przemysłowy ściśle wykonuje to, czego się od niego wymaga. Właśnie ta jego elastyczność w połączeniu ze względną złożonością operacji które może wykonać, pozwalają w wielu wypadkach z powodzeniem zastępować człowieka.

Maszyna zdolna do samodzielnego spawania karoserii samochodu, wodząca mechaniczną ręką po wszystkich punktach spojeń i nie zbaczająca ani na milimetr od wyznaczonej drogi, musi być bardzo skomplikowana. Jednakże nie ma potrzeby wyposażania jej w „rozum" i obdarzania zbytnią inicjatywą automatów wykonujących prymitywne operacje. Dlatego większość przemysłowych robotów jest podobna do rąk-uchwytów, którymi hydraulika zastępuje mięśnie.

Jeśli chodzi o „szare komórki mózgu", to najczęściej program robota jest zapisany na taśmie magnetycznej i przechowywany w kasecie. Na przykład ruchy jego „ręki", wykonującej punkt po punkcie spawanie metali, są zakodowane na taśmie. Jeśli zajdzie potrzeba malowania karoserii — to na taśmie będzie zakodowany inny tor „ręki".

Przy pojawieniu się karoserii „ręka" automatu, zaopatrzona w odpowiednie instrumenty ściśle wykona czynności przewidziane programem: będzie spawać lub malować. Jeżeli rozpocznie się produkcję nowych modeli samochodów, robotnik musi wykonać tylko jeden raz całą nową operację, prowadząc „rękę" robota i naciśnąwszy, jak w zwykłym magnetofonie, guzik z napisem „zapis". Po tym, za każdym razem przy pojawieniu się kolejnej karoserii, „ręka" robota dokładnie wykona, wyuczoną raz operację przemysłową, zapisaną już na taśmie. Automat będzie ją nieustannie powtarzać, tyle razy, ile potrzeba.

Przemysłowy robot „Unimade", wykonany w USA, jest automatem przystosowanym właśnie do takiej pracy. Używa się go przy taśmach montażowych wielu zakładów samochodowych. Kilka robotów „Unimade" pracuje w zakładach samochodowych „Renault" we Francji. Maszyny tej w żaden sposób nie można nazwać „intelektualną": pracuje jak papuga. Niemniej „Unimade" zastępuje człowieka przy jednostajnym, nużącym stanowisku pracy, a pojemność jego „pamięci", swoboda ruchów, ilość i złożoność manipulacji doskonale odpowiadają przeznaczeniu automatu. Jego „ręce" z łatwością operują pistoletem rozpylającym farbę, szczypcami, uchwytem próżniowym, elektrodą spawalniczą... „Unimade" nigdy nie odrywa się od pracy.

Roboty tego typu produkuje się w kilku wariantach, w zależności od przeznaczenia. „Unimade" są prymitywne, ale użyteczne: malują, spawają, tną, odrąbują, odczyszczają, przewijają — jak robotnicy o wysokich kwalifikacjach. Ładują i rozładowują samochody, przenoszą części z miejsca na miejsce, słowem — wykonują przeróżne prace, nieraz niemożliwe do wykonania przez człowieka. Na przykład bez trudu wyjmują z pieców rozpalone części metalu. Ale jednocześnie są tępe, głuche, nieme, ślepe i, podobnie jak kaleki bez nóg, nie mogą wstać i pójść po potrzebny przedmiot do innego końca hali, nie są nawet w stanie podnieść śruby kiedy spadnie na podłogę.

Jedyną dziedziną, w której robot, na danym etapie swego rozwoju, może konkurować z człowiekiem — to „muskulatura". Dlaczego by więc nie tworzyć robotów — superludzi, tępych jak „Unimade", ale nieporównanie silniejszych? Idea ta nie jest nowa. Amerykańska firma „General Electric" skonstruowała kilka lat temu prototyp „człekokształtnego" robota. Wprawdzie robotem był on tylko z nazwy. Był to bowiem swego rodzaju skafander, lub egzoszkielet ogromnych rozmiarów, w którym znajdował się człowiek i którego ruchy wzmacniał dziesiątki razy system hydrauliczny. Wymyślono całą serię maszyn przechodzących wszelkie wyobrażenia. Ale, podobnie jak dinozaury, skazane przez bezlitosną technologiczną ewolucję na wymarcie, tak i te przerażające aparaty dożywają swoich dni w magazynach kompanii, które je stworzyły. Chociaż, przyznać trzeba, sprzyjały one powstaniu telemanipulatorów o mniej fantastycznym wyglądzie.

Obecnym prototypem tej serii aparatów jest „Andromat". Ze swoją jedyną „ręką" jest podobny jak dwie krople wody do „Unimade", tyle tylko, że jest o wiele masywniejszy. „Andromat" okazał się szczęśliwszy od swoich poprzedników. Jest już produkowany masowo. Zaopatrzono go w zaprogramowaną pamięć: w razie konieczności może być podłączony do minikomputera. W tej postaci jest już robotem. Ale w pierworodnym stanie „Andromat" jest manipulatorem zdalnie sterowanym. Posiada kabinę, z której człowiek bez trudu kieruje „ręką" maszyny. Odtwarza ona wiernie wszystkie jego ruchy, ale ze znacznie większą amplitudą. „Andromat" przenosi na odległość kilku metrów, z obrotem 220 stopni wielotonowe ładunki. Jeżeli wykonywana operacja nie jest skomplikowana i odbywa się wielokrotnie, maszyna po pierwszej demonstracji może ją wykonywać samodzielnie mnóstwo razy. Jeśli wykonywana praca wymaga stałej obecności człowieka, to może się on wygodnie ułożyć w kabinie izolowanej od hałasu W przyszłości „Andromat" będzie uzupełniony urządzeniami, które rozszerzą pole jego działania jako samodzielnego robota. Jest systemem chyba najbardziej łatwym do przyjęcia z punktu widzenia ekonomicznego, wykonuje bowiem pracę, której nie wykona nawet kilku ludzi. Roboty drugiego pokolenia, które wychodzą już z murów laboratoriów, będą także widzieć, co otwiera przed nimi nowe dziedziny zastosowania.

Tłumaczył:
JERZY CZECH

■ W OCZEKIWANIU NA WIADOMOŚĆ Z GENEWY
■ INDIE – NOWA SYTUACJA I JEJ NASTĘPSTWA
■ POLSKA WIZYTA W UŁAN BATOR

Znów komentator wydarzeń międzynarodowych znalazł się w sytuacji, kiedy najważniejsza z informacji może wyprzedzić ukazanie się bieżącego numeru „Odgłosów". Świat czeka bowiem na wiadomość z Genewy, **w jakim terminie rozpocznie się w Helsinkach końcowe spotkanie, z udziałem szefów rządów i państw, uczestników Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie.** W różnych doniesieniach wymienia się koniec lipca, a konkretnie 28 lipca.

Postęp w redagowaniu końcowych dokumentów Konferencji uzasadnia oczekiwania na bliski termin spotkania na najwyższym szczeblu. Wysokie forum 35 państw zbierze się z pewnością jeszcze przed sierpniem. Chociaż bowiem polityka nie zna wakacji — w miesiącu tym na ogół słabnie nieco rytm działalności dyplomatycznej.

Z Genewy przenieśmy się do Delhi, gdzie **wciąż trwa rozgrywka między zwolennikami a oponentami Indiry Gandhi.** Przyczyną bezpośrednią tej walki stał się wyrok sądu w Allahabadzie, stwierdzający iż Indira Gandhi naruszyła przepisy wyborcze. Ten fakt wykorzystała opozycja, nasilając masowy atak na premiera i żądając dymisji. Sytuacja nabrała poważniejszych rozmiarów i **zmusiła do wprowadzenia w Indiach stanu wyjątkowego.** Aresztowano ok. 700 opozycyjnych polityków, ogłoszono pełną cenzurę prasową. Kroki te podjęto, gdyż nawoływania przeciwników Indiry Gandhi do nieposłuszeństwa mogły zakłócić funkcjonowanie transportu i całej gospodarki.

Obecnie najbardziej interesuje obserwatorów wydarzeń w Indiach, jak rząd wykorzysta nadzwyczajne pełnomocnictwa, które otrzymał po ogłoszeniu stanu wyjątkowego. Czy tylko do uciszenia opozycji, czy również do dalszych reform w kraju. Premier oświadczyła, że realizować będzie nowy program ekonomiczny, który przyniesie poprawę bytu biedoty wiejskiej oraz walkę z nadużyciami podatkowymi i przemytem. Czy to się jednak uda?

„Indie — pisze korespondent polskiej prasy z Delhi — są krajem, w którym jedną z naczelnych zasad rządzenia musi być szukanie kompromisów i równowagi między interesami różnych społeczności, warstw, narodowości, grup językowych i kast. Problem polega jednak na tym, aby to szukanie równowagi nie prowadziło do stagnacji..."

Ostatnie wydarzenia w Indiach zasługują na szczególną uwagę, gdyż — jak to stwierdza KP Indii — **„oznaczają wkroczenie w zupełnie nową fazę dziejów".** Obecny kryzys można rozwiązać tylko przez odnowę procesu demokracji parlamentarnej i uczynienia z niej skutecznego narzędzia walki z reakcją.

Przypomnijmy, że dwie trzecie ludności — to warstwy najbiedniejsze i że Indie są krajem wielkich zderzeń — nowoczesności i zacofania, dobrobytu i nędzy...

Wrzenie na wewnętrznej scenie politycznej obserwujemy również we Włoszech. Jak pisaliśmy — wybory do władz lokalnych zachwiały pozycję chadecji, a to z kolei musiało pogłębić rozdźwięki w samej partii. Sześciu przywódców lewicowego skrzydła złożyło rezygnację z partyjnych stanowisk, domagając się radykalnych zmian w linii politycznej chadecji. Mówi się też o możliwości dymisji rządu i przedterminowych wyborach powszechnych.

Kryzysy we Włoszech wybuchają z pewną regularnością i chociaż szybciej czy później są zażegnywane — pozostawiają trwały ślad. Tym razem może on być głębszy niż kiedykolwiek.

Pierwszy lipcowy tydzień przyniósł także **nowe przejawy polskiej aktywności na polu międzynarodowym.**

W Ułan Bator z oficjalną wizytą przebywał przewodniczący Rady Państwa — Henryk Jabłoński. Kulminacyjnym punktem wizyty było podpisanie po raz pierwszy w dziejach stosunków polsko-mongolskich **Układu o Przyjaźni i Współpracy między Polską Rzeczpospolitą Ludową a Mongolską Republiką Ludową.** Wytycza on kierunek naszych dalszych wspólnych poczynań, nadaje prawną formę bliskim związkom, jakie między obu krajami kształtowały się przez ostatnie ćwierćwiecze.

„Braterskie współdziałanie naszych państw i przyjaźń naszych narodów — mówił H. Jabłoński — służą ich interesom, służą wspólnocie państw socjalistycznych, służą sprawie pokoju zarówno w Azji, jak i w Europie".

Innym przejawem naszej aktywności jest zapowiedź wizyty w **najbliższych dniach w Polsce brytyjskiego sekretarza stanu d/s zagranicznych — J. Callaghana.** Rozmowy w Warszawie, jak można przypuszczać, dotyczyć będą nie tylko stosunków bilateralnych, lecz także aktualnej sytuacji w Europie, która bliska jest przyjęcia i wprowadzenia w życie zasad aktywnej współpracy międzynarodowej.

W. SŁAWSKI

WATERGATE (V)

ANDRZEJ BLAJER

ŚMIERTELNY CIOS

2 maja 1973 roku, czyli w dwa dni po dokonaniu się owego istotnego zwrotu w aferze Watergate, jakim była niewątpliwie dymisja najwierniejszych pretorianów Nixona — kolejna sensacja. Tegoż dnia wydarzyło się bowiem coś, co nawet dla najbardziej wytrawnych obserwatorów ówczesnej sceny politycznej USA musiało się wydawać absurdem. Nastąpiło bowiem kolejne włamanie, tym razem do... Białego Domu. Nie, to nie pomyłka.

Owego wieczoru do Białego Domu przeniknęła grupa ludzi, którzy, jak się później okazało, byli agentami FBI. Komandem tym dowodził sam William D. Ruckelshaus, nowy niedawno mianowany na to stanowisko szef FBI. Po przedostaniu się do siedziby Nixona i stoczeniu potyczki z jego osobistą ochroną, ludźmi z „Secret Service" (służby ochrony prezydenta), przybysze opanowali sytuację. Następnie zajęli pomieszczenia służbowe trzech świeżo zdymisjonowanych doradców: Deana, Haldemana i Ehrlichmana. Tam, z kolei, bez większego trudu „włamywacze" otworzyli stalowe sejfy i skrytki w ścianach. Szczególnie wiele uwagi poświęcili pokojowi zajmowanemu przez Johna Ehrlichmana.

Wszyscy pracowali z dużą wprawą, nie leniąc się przy robocie, toteż na efekty nie musieli czekać zbyt długo. Po paru chwilach spory plik papierów powędrował do ich skórzanych paczek.

Jak nietrudno się domyślić, celem akcji było zabezpieczenie materiału dowodowego, dotyczącego afery Watergate. Chodziło zaś o zapobieżenie dalszemu rozwojowi tej przykrej dla administracji afery. Trzeba było zdobyć jeszcze tylko kilka dokumentów.

Ale dlaczego były one takie cenne dla ludzi z FBI, jaką tajemnicę w sobie kryły? Rychło okazało się, iż powody do owej akcji istniały już w 1969 roku. Różne czasopisma i dzienniki przynosiły wówczas coraz to nowe niedyskrecje z Wietnamu. Prezydent zaczął podejrzewać istnienie przecieków w swoim najbliższym otoczeniu. Zarządził więc niebawem, aby roztoczyć nad każdym ze swych osobistych pracowników dyskretną kontrolę. Należało to właściwie do obowiązków FBI. „Tricky Dick" wolał jednakże do takich i podobnych akcji korzystać z usług własnej prywatnej tajnej służby do zadań specjalnych. Na przeszkodzie stał jednak ktoś, z kim nawet Nixon musiał się liczyć. Tym kimś był J. Edgar Hoover, szef Federal Bureau of Investigation od 1924 roku. Nie chciał się za żadną cenę zgodzić na koncepcję Nixona gdyż widział w niej zagrożenie dla siebie, ograniczenie swojej nie kwestionowanej dotąd przez nikogo władzy. Sam założył przecież i rozbudował ogromny aparat kontroli i nadzoru, na którym opierała się potęga jego śledczego imperium. Jak mógłby więc dopuścić, aby ktoś, nawet prezydent, niszczył dzieło jego całego życia.

Aby więc skutecznie przeciwdziałać krokom podejmowanym przez prezydenta i jego współpracowników, zwłaszcza Mitchella, swojego bezpośredniego zwierzchnika, Hoover polecił ludziom z FBI, aby mieli na oku każde, nawet najmniej istotne posunięcie małej grupy najbliższych doradców Nixona. Dotyczyło to również jej szefa, wszechwładnego Johna Ehrlichmana. Wszystkie rozmowy telefoniczne były dotąd na stałym podsłuchu, na podstawie których sporządzano staranne protokóły, przedkładane okresowo Hooverowi. Ale oto Ehrlichman dowiaduje się, iż jest śledzony. Wściekłość doradcy prezydenta do spraw wewnętrznych nie ma granic. On jeden z najbardziej wpływowych współpracowników Nixona dał się tak wystrychnąć na dudka. Nie, tego nie można puścić płazem. Tak więc wiosną 1971 roku dochodzi do włamania do kwatery głównej FBI, włamania, zorganizowanego przez „przyboczną gwardię" prezydenta. Wszystkie protokóły z podsłuchów zostają zabrane i przetransportowane do Białego Domu, do sejfu gabinetu służbowego Johna Ehrlichmana.

Kiedy Hoover stwierdził brak drogocennego skarbu, postanowił się zemścić. Upoważnił więc swojego zastępcę, Marka W. Felta, aby ten wszczął oficjalne śledztwo w sprawie włamania do kwatery głównej FBI. Jednocześnie Hoover zadzwonił do zastępcy ministra sprawiedliwości Kleindiensta i poinformował go, iż przygotowane jest opublikowanie szeregu dokumentów, które całkowicie zdyskredytują w oczach opinii publicznej niektórych bliskich współpracowników prezydenta. Sytuacja wydaje się więc być niebezpieczna dla Ehrlichmana i spółki. Do spełnienia owej groźby już jednak nie dochodzi. Oto bowiem 2 maja 1971 roku nad ranem Hoover nieoczekiwanie umiera.

Uważnego czytelnika musiało niepomiernie zdziwić niezwykle podkreślenie komunikatu oficjalnego, zawiadamiającego o śmierci szefa FBI, iż: „zmarł on śmiercią naturalną". A więc jednak nie wszystko było takie naturalne. Tak oto owo zdanie, które miało na celu rozwiać wszelkie wątpliwości, co do zgonu Hoovera, spowodowało, iż coraz więcej ludzi zaczęło się interesować tą sprawą, powątpiewiając w prawdziwość oficjalnej wersji. Rozeszły się nawet pogłoski, iż Hoover został zamordowany w akcie odwetu ze strony władz. I choć nie znalazły one żadnego potwierdzenia, wiele osób do dziś sądzi, iż mord na osobie Hoovera wcale nie był wykluczony.

Nowemu szefowi FBI bardzo zależało na odzyskaniu przez jego instytucję dawnej pozycji, a zarazem także na ukręceniu łba aferze Watergate, która nadal rozwijając się, mogła pochłonąć jeszcze wiele „ofiar". Ale Ruckelshaus nie przewidział jednego, tego mianowicie, iż John Dean, radca prawny Nixona, człowiek, który od początku wiedział o wszystkich najtajniejszych sprawach, który nimi kierował, iż ten człowiek zacznie mówić i ujawni rolę, jaką odgrywał prezydent w tuszowaniu całej sprawy.

Natychmiast po ujawnieniu przez Deana owych „rewelacji", dotyczących przebiegu afery, prezydent i jego najbliżsi współpracownicy kategorycznie wyparli się wszystkiego. Ale i oni jeszcze wówczas nie sądzili, iż będą musieli wydać władzom prowadzącym śledztwo taśmy z nagraniami rozmów prowadzonych na temat tej afery w Białym Domu. Taśmy te zaś ujawniły ponad wszelką wątpliwość, iż prezydent nie tylko o wszystkim wiedział, lecz był czynnie zaangażowany — i to wbrew jego oświadczeniom — od samego początku, w tuszowanie afery. A oto fragment rozmowy, jaka toczyła się w Białym Domu 15 września 1972 roku, a więc w trzy miesiące od daty włamania do Watergate.

Prezydent: Cześć, jak się masz? Miałeś dziś ciężki dzień, co? Ruszyliście Watergate?

Dean: Próbowaliśmy. (...)

Prezydent: Czy oni rzeczywiście chcą, by wierzono, że to myśmy to podłożyli?

Dean: Trzy miesiące temu trudno było mi powiedzieć, że nadejdzie dzień, kiedy wszystko to ulegnie zapomnieniu, ale myślę, że mogę powiedzieć, że w ciągu 54 dni od dziś (tj. do wyborów prezydenckich) nic nam się niespodzianie z hukiem nie zawali.

Prezydent: No, cóż, jak wiecie, jest to puszka pełna robactwa, mnóstwa rzeczy, które się działy. I ludzie, którzy działali w tę stronę, są potwornie zakłopotani. Wydaje mi się jednak, że bardzo zręcznie sobie z tym wszystkim radziłeś, zatykając palcami wszystkie pojawiające się raz po raz przecieki. (...)

Prezydent: ...Współczuję tym biednym facetom w więzieniu, zwłaszcza Huntowi, po śmierci żony.

Dean: No, cóż, wszystko wskazuje na to, że w tej chwili trzymają się oni twardo.

Prezydent: Ale czego, do diabła, oczekują? Czy liczą na ułaskawienie w rozsądnym czasie? Co byś tu radził?

Dean: Myślę, że jest to jedna z tych spraw, które musimy bardzo bacznie śledzić...

Prezydent: Nie można tego zrobić, powiedzmy, w ciągu sześciu miesięcy?

Dean: Nie, nie można. Cała ta sprawa w rezultacie tych przesłuchań może nabrać takiego ładunku politycznego, że jest to czysta vendetta. Cały ten sędzia może się tak rozpędzić przy wydawaniu wyroku i skazać ich tak absurdalnie, że to byłaby wyraźna niesprawiedliwość...

Prezydent: Czy jest jakaś możliwość apelacji?

Dean: Racja. Liddy i McCord, którzy odbyli już proces, będą obaj apelować i nie sposób powiedzieć, jak długo to wszystko potrwa. Jest to jedna z tych spraw, za którymi musimy po prostu uważnie śledzić.

Prezydent: Jednakże jestem zdania, że nie należy się wypowiadać na ich temat, uzasadniając to tym, że sprawa jest wciąż przedmiotem rozważań sądu i że założono apelację. Po drugie, jestem zdania, że w obecnym momencie nie ma co się wypowiadać na temat przesłuchań, poza stwierdzeniem, iż ufam, że będą one prowadzone właściwie i że nie będą komentować przesłuchań, dopóki są one w toku. Oczywiście, jeśli się przerwą — jeśli zaczną grzebać w błocie — to najlepiej nie kultywować tej sprawy tu, w Białym Domu. Jeśli znowu będzie to robione w Białym Domu, to zrzucą oni całą tę sprawę na nas. Zobaczymy z czasem. Może będziemy musieli zmienić politykę. Ale prezydent nie może być wmieszany w żaden element tej sprawy.

Kiedy czyta się stenogramy rozmów, można zdać sobie sprawę, do jakiego stopnia prezydent liczył się z ujawnieniem tych rozmów. Oto na przykład fragment słynnej rozmowy z Deanem z 21 marca 1973 roku, w której prezydent jest już świadomy groźby jej ewentualnego ujawnienia.

Dean: Pan nie jest w to zamieszany, i nie powinien pan...

Prezydent: To prawda!

Dean: Wiem o tym. Na podstawie naszej rozmowy, mogę stwierdzić, że nie wiedział pan o tych sprawach.

Prezydent: Niewątpliwie!

Jednakże treść tej rozmowy nie w pełni służy interesom Nixona i wskazuje na istnienie spisku w celu utrudnienia pracy wymiaru sprawiedliwości.

Dean: Oni (oskarżeni w sprawie Watergate) zachowają milczenie. Z wyjątkiem Hunta. Stąd jego groźba. (że zacznie mówić).

Prezydent: Dlatego też w chwili obecnej nie ma pan wyboru. Musi pan dostarczyć te 120 tysięcy dolarów, czy ile to jest. Prawda?

Dean: To prawda.

Prezydent: Czy zgadza się pan z tym, że sprawa główna jest to zrobić?

Dean: W każdym razie trzeba mu oczywiście dać jakiś sygnał.

Prezydent: Zrób pan to. A kto będzie z nim rozmawiał? Colson?

No, cóż, nic dodać — nic ująć.

Fot. Archiwum

HIPOTEZY (XVIII)

ERICH von DÄNIKEN

RELACJE NAOCZNYCH ŚWIADKÓW

Pięcioksiąg, który dostarczył mi takiego bogactwa materiału ilustracyjnego dotyczącego galaktycznych nadludzi z czasów prehistorycznych jest kopalnią informacji dla poparcia mej teorii, jeśli czyta się go z odrobiną wyobraźni, oczami kogoś żyjącego w wieku podróży kosmicznych. Pozwólmy więc „bogom" jeszcze raz zstąpić na Ziemię przez ponowne przestudiowanie opisów przekazanych przez Mojżesza.

W drugiej Księdze Mojżeszowej (Exodus 19:16-19) napisano:

„Stało się tedy dnia trzeciego po ranu, że były grzmienia i błyskawice, i gęsty obłok nad górą, i głos trąby bardzo potężny, a bał się wszystek lud, który był w obozie.

I wyszedł Mojżesz lud naprzeciwko Bogu z obozu, a stanęli pod samą górą.

A góra Synaj kurzyła się wszystka, przeto iż zstąpił na nią Pan w ogniu, i występował dym z niej, jako dym z pieca, i trzęsła się wszystka góra bardzo.

A gdy się głos trąby im dalej tem bardziej rozlegał..."

I dalej (Exodus 20:18):

„Tedy wszystek lud widząc gromy, i błyskawice, i głos trąby, i górę kurzącą się, to widząc lud cofnęli się, i stanęli z daleka".

Czy ktoś jeszcze teraz wierzy, że Pan Bóg Wszechmogący musiał podróżować pojazdem, który dymił, miotał błyskawice, powodował trzęsienie ziemi i tak okropny hałas, jak samolot odrzutowy? Bóg jest wszechobecny. Jeśli tak, to czy jest do pomyślenia, że opiekując się swoimi wybranymi dziećmi, musiał się im jednocześnie ukazywać w taki przerażający sposób? Dlaczego przestraszył swe dzieci tak, że musiały uciekać? Wyraźnie też nakazał Mojżeszowi trzymać lud z dala od góry, na której odbyło się lądowanie (Exodus 19:21,23-24):

„Zaczem rzekł Pan do Mojżesza: Zstąp, przestrzeż lud, by snać nie przestąpili kresu, chcąc Pana widzieć, aby ich nie padło wiele.

I rzekł Mojżesz do Pana: Nie będzie mógł lud wnijść na górę Synaj, ponieważeś ty nas przestrzegł, mówiąc: Ogranicz górę, a poświęć ją.

Któremu Pan rzekł: Idź, zstąp, a zaś tu wstąpisz, ty i Aaron z tobą: lecz kapłani i lud niech nie przestępują kresu, aby wstąpili do Pana, by ich snać nie potracił".

Prorok Micheasz taką roztacza wizję (1:3-4):

„Bo oto Pan wyjdzie z miejsca swojego, a zstąpiwszy deptać będzie po wysokościach ziemi;

I rozpłyną się góry pod nim, a doliny popadają się, tak jako wosk od ognia..."

Wyobraźnia zawsze potrzebuje czegoś, co ją zapłodni i pobudzi. Co jednak zapłodniło wyobraźnię kronikarzy w Starym Testamencie? Czy opisywali coś, czego w ogóle nie widzieli? Wielokrotnie zwracają się do nas, abyśmy uwierzyli, że wszystko, co opisują rzeczywiście się wydarzyło. I ja wierzę, że były to opisy naocznych świadków wydarzeń. W tamtych czasach niczyja wyobraźnia nie mogła wytworzyć pojazdów, które plują ogniem, wzbijają tumany pustynnego piachu i topią pod sobą twarde skały.

Jeśli przyjmiemy tezę, że nieznane istoty inteligentne dokonały sztucznej inseminacji mieszkańców Ziemi, to w zupełnie innym świetle ujrzymy fakt wyjścia Żydów z Egiptu. „Bogowie" oddzielili wszystkich wybranych do tego eksperymentu ludzi od świata zwierzęcych mieszańców i przeznaczyli ich do „podróży po pustyni", gdzie poddali ich kwarantannie na przeciąg okresu życia jednego pokolenia. Bronili ich przed wrogami oraz dostarczali im pożywienia.

Jednakże „bogowie" mieli ciągłe kłopoty ze swymi podopiecznymi, którzy nie mogli uwolnić się od dawnego zwyczaju spółkowania ze zwierzętami. Dlatego też Mojżesz ostrzega i grozi (Levicitus 18:23-):

„Także z bydlęciem żadnem obcować nie będziesz, abyś się z niem miał splugawić. Niewiasta też niech nie podlega bydlęciu dla obcowania z niem, sprośna rzecz jest.

Nie plugawcież się temi wszystkiemi rzeczami, bo tem wszystkiem splugawili się poganie, które Ja wyrzucam przed obliczem waszem.

Bo splugawiła się ziemia, przetoż nawiedzę nieprawość jej na niej, i wyrzuci ziemia obywatele swoje.

A tak wy przestrzegajcie ustaw moich i sądów moich..."

Kary za nieprzestrzeganie tych zakazów były bardzo surowe (Levicitus 20:15-16):

„Także ktoby się złączył z bydlęciem, śmiercią umrze, bydlę też zabijecie.

Niewiasta, któraby przystąpiła do jakiego bydlęcia, aby z niem obcowała, zabijesz niewiastę i bydlę; śmiercią umrą, krew ich będzie na nich".

„Bogowie" dali też poddanym przez siebie mutacji ludziom szczegółowe instrukcje dotyczące higieny (Levicitus 13:2-4):

„Człowiek, któryby miał na skórze ciała swego sadzel, albo liszaj, albo białe blizny, tak iżby się na skórze ciała jego okazała plaga trądu, przywieziony będzie do Aarona kapłana, albo do którego z synów jego kapłanów.

Tedy ogląda kapłan on sadzel na skórze ciała jego; jeźliby włos na onym sadzelu pobielał, a on sadzel na spojrzeniu byłby głębszy, niż insza skóra ciała jego, plaga trądu jest; przetoż oglądawszy go kapłan, osądzi go być nieczystym.

A jeźliby biała tylko blizna była na skórze ciała jego, a nie byłaby głębsza na spojrzeniu, niż inna skóra, i włosy w niej nie pobielałyby, tedy zamknie kapłan mającego taką zarazę przez siedem dni".

Tak więc „bogowie", to znaczy nieznane istoty inteligentne, nauczyli ludzi rozpoznawania chorób i izolowania chorych od zdrowych. Dostarczyli także zupełnie nowocześnie brzmiących wskazań dla przeprowadzania skrupulatnej i całkowitej dezynfekcji (Levicitus 15:4-12):

„Każda pościel, na którejby leżał płynienie cierpiący, nieczysta będzie, i wszystko, na czemby usiadł, nieczyste będzie.

Ktoby się dotknął pościeli jego, upierze szaty swoje, i umyje się wodą...

Ktoby też siadł na tem, na czem też siedział, co z niego nasienie płynie, upierze szaty swe, i umyje się wodą...

Jeźliby się też kto dotknął ciała męża cierpiącego płynienie, upierze szaty swe, i umyje się wodą...

A jeźliby plunął płynienie cierpiący na czystego, oplwany upierze szaty swe, i umyje się wodą...

Każde też siodło, na któremby siedział płynienie cierpiący, nieczyste będzie.

Ktoby się też jakiejkolwiek rzeczy dotknął, która była pod nim, nieczysty będzie...

Także każdy, któregoby się dotknął cierpiący płynienie, nie umywszy przedtem rąk swoich w wodzie, upierze szaty swoje, i umyje się wodą...

Naczynie też gliniane, któregoby się dotknął, co płynienie cierpi, stłuczone będzie..."

Widać więc, że są to wszystko ultranowoczesne zalecenia higieniczne. Kto jednak mógł posiadać taką wiedzę w zamierzchłej starożytności? Zgodnie z moim przekonaniem musiały wydarzyć się następujące rzeczy.

„Bogowie" przybyli z kosmosu.

„Bogowie" wybrali grupę istot zamieszkujących naszą planetę i dokonali na niej sztucznego zapłodnienia.

„Bogowie" dali grupie ludzi posiadających ich materiał genetyczny prawa i nauki umożliwiające rozwój cywilizacji.

„Bogowie" zniszczyli wszystkich, którzy powrócili do dawnego sposobu życia.

„Bogowie" dali wybranym ludziom szeroką znajomość higieny, medycyny i techniki.

„Bogowie" nauczyli ludzi sztuki pisania oraz uprawiania jęczmienia.

Opracował: B. KRAKOWIAN

EX LIBRIS ODGŁOSÓW

ŻMIJA

Herve Bazin (ur. w 1911 roku) od wielu lat należy do grona pisarzy cieszących się największą poczytnością we Francji. Popularność zawdzięcza Bazin talentowi narracyjnemu i odwadze z jaką podejmuje problemy współczesnej obyczajowości, nie cofając się przed żadnym tabu obowiązującym w konserwatywnych środowiskach mieszczańskich.

Powieść „Żmija w garści", utrzymana w formie relacji chłopca w okresie dojrzewania, zdobyła swego czasu szczególny rozgłos. Wywołała wówczas wiele polemik, kontrowersyjnych opinii i dyskusji z uwagi na drastyczność poruszanego tematu. Bohaterem książki jest bowiem Nienawiść i to najbardziej nieprawdopodobna — nienawiść syna do bezwzględnej i despotycznej matki i — chyba — nienawiść matki do syna.

Z dorobku prozatorskiego Herve Bazina ukazały się dotychczas w Polsce takie książki jak: „Kogo śmiem kochać", „W imię syna" „Małżeństwo" i „Szczęśliwi z Wyspy Rozpaczy". Ci, którzy zetknęli się już z prozą tego francuskiego pisarza, sięgną zapewne także po „Żmiję w garści".

Herve Bazin „Żmija w garści", Wyd. Czytelnik, cena 22 zł.

SAMI O SOBIE

Rozmowy Krystyny Nastulanki z wybitnymi ludźmi pióra i nauki, publikowane od 1961 roku na łamach „Polityki" układają się w niezwykle interesującą panoramę poglądów pisarzy i humanistów na temat literatury i kultury, problemów moralnych, historii, współczesności i doświadczeń życia. W książce „Sami o sobie" znajdujemy wypowiedzi 32 wybitnych twórców. Wymieńmy choćby Leona Kruczkowskiego, Stanisława Jerzego Leca, Mirona Białoszewskiego, Romana Bratnego czy Wisławę Szymborską.

„Zbierałam te rozmowy z nadzieją — pisze Nastulanka — że przyczynią się one może do pewnego zbliżenia między czytelnikami i twórcami, że wniosą jakieś nowe przyczynki do wyjaśnienia fenomenu twórczości, a w sumie pokażę — być może — przekrój problematyki, rozterek i kłopotów współczesnych pisarzy i ludzi nauki, poszukujących nowego modelu myślenia humanistycznego, nowego stosunku do spraw historii i narodu, próbujących już dziś, na bieżąco i bez perspektywy rozliczyć się ze swoim czasem. Te trzydzieści kilka rozmów, które znalazły się w tym tomie, to między innymi także panorama refleksji na owe tematy".

Oczywiście nie sposób relacjonować zawartości tej książki — mieści ona zbyt wiele, zbyt zróżnicowanych refleksji. Od rozważań na temat pracy tłumacza, po refleksje o polskich Cyganach i uwag na temat powieści historycznej. Słowem — książka Nastulanki to trzydzieści parę wieczorów autorskich.

Krystyna Nastulanka, „Sami o sobie", cena 32 zł.

„DZIEŁA" IWASZKIEWICZA

Rozpoczęto już edycję „Dzieł" Jarosława Iwaszkiewicza, edycję niezwykle piękną edytorsko i niezwykle atrakcyjną czytelniczo, o czym zresztą nie ma potrzeby nikogo przekonywać.

W tym zbiorowym wydaniu „Dzieł" wybitnego pisarza znajdzie się oczywiście siedem powieści, dwa osobne woluminy poetyckie zawierające wiersze z blisko 20 zbiorów. Same tylko opowiadania wypełnią osiem tomów „Dzieł". Dwa tomy edycji poświęcone będą dramatom, również dwa — felietonom o książkach drukowanych w „Życiu Warszawy". W sumie około trzydziestu tomów znajdzie się w edycji „Dzieł" Jarosława Iwaszkiewicza.

Ostatnio na półkach księgarskich ukazała się właśnie jako „jaskółka" tego wydania „Książka moich wspomnień" piękna summa refleksji nad światem i twórczością. Książkę tę pisał Iwaszkiewicz w samym środku okupacyjnej nocy. We wstępie napisanym w roku 1941 autor wyznaje: „nie mam zamiaru pisać wyznań ani spowiedzi, toteż te wspomnienia nie będą sensacją dla tych, których intymne strony życia interesują najbardziej. Mnie będzie chodziło tylko o to, aby opowiedzieć, jak świat zewnę[illegible] i radością przełamywał się w duszy dziecka, młodzieńca i mężczyzny i jak przygotowywałem się do spełnienia trzech zadań, które sobie postawiłem w zaraniu życia, aby możliwie najdokładniej ten świat poznać, zrozumieć i wyrazić".

Jarosław Iwaszkiewicz, „Książka moich wspomnień", Czytelnik, cena 60 zł.

PIĘKNE ŻYCIORYSY

Zbiory wywiadów zawsze cieszyły się dużą popularnością. [illegible] Radomińskiej doczekały się drugiego, rozszerzonego wydania — w niniejszej rubryce prezentujemy [illegible] wywiadów Krystyny Nastulanki i „Polityki".

Ta książka jest jednak inna. Nie dlatego nawet, że napisało ją paru dziennikarzy. Ta książka jest inna, bowiem prezentuje życiorysy ludzi niecodziennych. „Życiorysy z tęczą" nie są sylwetką jednego pokolenia. Spotykają się na jej stronach ludzie różnych generacji, których łączy fakt, że swoim życiem pozostawili trwały ślad w świadomości społeczeństwa. Ślad materialny, polityczny, duchowy. Wspólna cecha tych życiorysów jest niepokój, niezadowolenie z rzeczy już osiągniętych, dążenie do doskonałości w swej dziedzinie.

Są to ludzie różnych profesji. Prof. Jan Szczepański i dyrektor Domów Towarowych „Centrum" — Albin Kostrzewski, Adam Hanuszkiewicz i prof. Szczepan Pieniążek, gen. Jerzy Ziętek i Krzysztof Zanussi.... Dwadzieścia dwa życiorysy.

Książka jest dziełem zespołowym. Gdyby nie wysiłek kolektywu „Życia Warszawy", być może nigdy by nie powstała. Wszystkie wywiady stanowią próbę spojrzenia na ludzi, których życiorysy znać warto. Jest w nich bogactwo dziejów narodu. Jest to więc swego rodzaju lustro. I jak to już z lustrem bywa — nie zawsze to, co widzimy, odpowiada naszym wyobrażeniom. A mimo to przyglądajmy się — warto. Przyjrzyjmy się więc również sobie w tych „Życiorysach z tęczą".

„Życiorysy z tęczą", Wyd. Książka i Wiedza, cena 35 zł.

SYLWETKI PISARZY

Lesław M. Bartelski od lat specjalizuje się w różnego rodzaju literackich leksykonach. Powodzeniem cieszy się [illegible] w kraju jak i za granicą jego leksykon „Polscy pisarze współcześni". Ostatnio wydał szkic [illegible] a na karabinie", o losach polskich pisarzy w czasie wojny.

„Sylwetki polskich pisarzy współczesnych", to książka składająca się ze szkiców poświęconych wybitnym pisarzom naszej doby. Otwiera ją sylwetka Jerzego Andrzejewskiego — zamyka — Wojciech Żukrowski. A ponadto: [illegible], Maria Dąbrowska, Konstanty I. Gałczyński, Jarosław Iwaszkiewicz, Zofia Nałkowska, Jan Parandowski, Tadeusz Breza, Bohdan Czeszko, Tadeusz Borowski, Krzysztof Baczyński, Pola Gojawiczyńska, Leon Kruczkowski, Ksawery Pruszyński, Julian Przyboś, Jerzy Putrament, Tadeusz Różewicz, Leopold Staff, Julian Tuwim, Melchior Wańkowicz... Celowo wymieniłem wszystkie nazwiska, bowiem tylko pełny rejestr szkiców może zaświadczyć o tym, jak bardzo tego rodzaju publikacja przyda się zarówno nauczycielom, jak i młodzieży wyższych klas licealnych.

„Sylwetki polskich pisarzy współczesnych" należą więc do książek, usiłujących przybliżyć czytelnikowi postaci wybitne, ukazać powiązania ich twórczości z życiem, z rzeczywistością, jaka ich otaczała.

[illegible] Lesław M. Bartelski — aby zetknięcie się na kartach tej książki z wybitnymi pisarzami współczesnymi zbliżyło czytelnika do literatury polskiej i przyczyniło się do lepszego jej poznania".

Lesław M. Bartelski, „Sylwetki polskich pisarzy współczesnych", Wyd. Szkolne i Pedagogiczne, cena 36 zł.

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

NIE MA NIEBIESKICH RÓŻ

„Proponuję zorganizowanie na terenie całego kraju społecznych klubów „Nie pij". Trzeba wybrać dla nich jakiś atrakcyjny emblemat, np. błękitną różę. Do Klubu Błękitnej Róży należeć może każdy obywatel mający dobrą opinię, nie upijający się i nie pijący w pracy, jeśli zadeklaruje pracę społeczną, której celem jest zwalczanie alkoholizmu. Praca ta przybiera różne formy: wykrywanie miejsc nielegalnej produkcji i sprzedaży wódki, nadzór nad zakładami gastronomicznymi, aby przestrzegały ustawy przeciwalkoholowej, kontrola gospód mających opinię spelunek pijackich, interwencje w razie naruszenia porządku i spokoju w miejscach publicznych, wizyty w izbach wytrzeźwień. Do obowiązków klubów należy również opieka nad rodziną alkoholika w formie stałych wizyt w jego domu, kontaktów z miejscem jego pracy i in. Jeśli dobro rodziny będzie wymagać wytoczenia alkoholikowi procesu, klub zrobi to sam w jej imieniu, występując w sądzie jako oficjalny oskarżyciel. Obecnie strach przed zemstą alkoholika w bardzo wielu przypadkach uniemożliwia żonie i dzieciom udanie się pod opiekę prawa".

Nie, drodzy czytelnicy — ja nie zwariowałem. Powyższy tekst znalazł się na łamach **„Kultury"**, a wyszedł spod pióra Wybitnej Poetki. W ten sposób raz jeszcze umocnione zostało potoczne przekonanie, że poeci są ludźmi nie chodzącymi po ziemi, że żyją w jakimś wyimaginowanym świecie i obca jest im realna rzeczywistość.

Nie mam oczywiście do Wybitnej Poetki pretensji o podjęcie tematu bardzo istotnego społecznie. Cenię jej świętą pasję i rozumiem szlachetne pobudki. Ale... Każdy wie jak łatwo poważną sprawę ośmieszyć niepoważnym traktowaniem. I tak się — niestety — stało z artykułem Wybitnej Poetki, mimo najszlachetniejszych intencji projektodawczyni Klubów Błękitnej Róży.

Osobiście wątpię czy emblemat kwiatka jest właśnie tym najatrakcyjniejszym symbolem dla konsumentów wyrobów spirytusowych. Poetka twierdzi, że jest — jej sprawa. Trudno natomiast przejść obojętnie wobec pomysłu włączenia społeczeństwa, lub jego części, do **„spisywania protokółów, a następnie składania ich w posterunkach MO"**.

Dorosły mniej więcej człowiek zdaje sobie sprawę, że **„pobita przez pijaka żona czy matka, jak i sam pijak, który postanowił rozpocząć walkę z nałogiem"** — mają do wyboru właśnie komendy MO i poradnie przeciwalkoholowe. Poetka proponuje, aby te instytucje zastąpić Klubami Błękitnej Róży. Po co — dalibóg nie wiem.

Nie będę się zresztą znęcał nad przedziwnym, kuriozalnym tekstem opublikowanym w **„Kulturze"**. Dowodzi on bowiem niezbicie, że Wybitnej Poetce obce są absolutnie obyczajowe, społeczne, ekonomiczne i psychologiczne wreszcie uwarunkowania, składające się na sens groźnego słowa „alkoholizm". Wybitna Poetka dała wyraz swojej absolutnej ignorancji w sprawach, na temat których rozdziera szaty w szlachetnym porywie.

Cenię tę szlachetność i cenię ten poryw. Ale naiwność i absurdalność pomysłów i propozycji Poetki ośmiesza całą sprawę — i o to można mieć pretensję. Zbyt cenione we współczesnej literaturze nazwisko firmuje ten kuriozalny apel, aby potraktować go tylko jak histerię i brak poczucia rzeczywistości.

Poetka proponuje na przykład, żeby podawać do publicznej wiadomości adresy... melin, żeby handel i gastronomia ograniczyły sprzedaż alkoholu...

Zdumiewający brak realizmu tych propozycji zwalnia mnie od ich komentowania.

A w ogóle — pisze Poetka — powinno być jak najwięcej Klubów. I wymienia: terenowe, środowiskowe, szkolne, akademickie, i wiejskie. I powinny być gazetki ścienne z obowiązkowym kącikiem satyry antyalkoholowej. Obywatele powinni się obwąchiwać, czy który nie wypił, pisać protokóły (że nie powiem inaczej) i zanosić do MO. Kluby powinny pisać protesty i udzielać pijącym upomnienia.

Poetka święcie wierzy, że gdyby te dziecinne bajania udało się zrealizować, zniknie problem alkoholizmu. No cóż, ludzka wiara jest sprawą prywatną. Nie mogę jednak dociec, dlaczego **„Kultura"** publikując tę fantastyczną bajeczkę zdecydowała się na ośmieszenie p r o b l e m u?

Kiedyś przed laty modna była piosenka, w refrenie której powtarzały się słowa: „Nie ma niebieskich róż". W istocie nie ma, i „niebieska róża" jest synonimem mrzonki. Chyba podświadomość podszepnęła Wybitnej Poetce ową nazwę — Kluby Błękitnej Róży.

WIDOK

LEWYM OKIEM

„FUZZY, NASTAW USZU"

Turyści zachodnioniemieccy odwiedzają Austrię tak masowo, że większość towarów na wystawach Wiednia, Salzburga, Innsbrucku opatrzonych jest od razu dwiema cenami: w szylingach i w markach zachodnich. To chyba na użytek tychże turystów w kioskach dworcowych można otrzymać nie tylko ogromny wybór magazynów, czasopism i dzienników z RFN, bo te są wszędzie, na każdej ulicy, lecz takie specyficzne periodyki jak „Druga wojna światowa" i „Wspomnienia żołnierskie". W pierwszym z nich artykułem tytułowym, anonsowanym odpowiednią ilustracją na okładce, jest „Generał Zima" — rzecz o pierwszej zimie po napaści na Związek Radziecki i o wielkich, a bohatersko znoszonych trudach dzielnych żołnierzy swastyki. Drugie z pism poświęca akurat cały numer wybitnej tamtoczesnej postaci — doktorowi Goebbelsowi, uśmiechającemu się kostycznie z okładki.

Hamburska „Die Zeit", również sprzedawana w całej Austrii, zamieszcza krótką recenzję z naszego filmu „Krzyżacy", który dopiero teraz wszedł w RFN na ekrany. Oto owa — dość przecież wymowna — recenzja:

„W początkach lat sześćdziesiątych film ten nie mógł być wyświetlany w Republice Federacyjnej Niemiec, obecnie kina publikują go jako kuriosum. To, co wyznawcy zimnej wojny z epoki Adenauera uważali za prowokację antyniemiecką, robi w 13 lat później wrażenie raczej komiczne. Jaskrawo kolorowe obrazki Forda o szlachetnych polskich patriotach i ponurych germańskich zbirach, hańbiących jasnowłose dziewczęta, ma więcej wspólnego z dosadnym wdziękiem scenek ogródkowych, niż z „Aleksandrem Newskim" Eisensteina. Dziarscy mężowie wyciągają żelazne prawice do przysięgi, dialogi składają się z samych wspaniałych haseł. Niezmierna naiwność akcji obok kilku bardzo pięknych kompozycji ekranowych nadają filmowi dużo malowniczego uroku, działającego zwłaszcza na tych widzów, którzy jako dzieci lubili się bawić zamkami rycerskimi z papieru".

Taką oceną film nasz został dokumentnie upupiony i zlekceważony, choć dla ścisłości godzi się dodać, że recenzję zamieszczono w dziale filmów „godnych obejrzenia". W tym miejscu swędzi mnie pióro, aby podać kilka tytułów, zdobiących wejścia do kin wiedeńskich. Są to głównie filmy zachodnioniemieckie, nie wiem jednak, czy ktoś uznał je za „godne obejrzenia", czy za „wybitne", czy też za „pozbawione wartości". Oto tytuły: „Zemsta tysiąca kotów", „Fuzzy, nastaw uszu!", „Siedmiu z Marsa Matruh", „Królewski tygrys z El Alamein", „Drakula łaknie świeżej krwi", „Noc szatańskich orgii", „Dziewczęta rozkoszy", „Gdzie strumyk przez majteczki...", „Po co martwemu psu befsztyk" i „Pod spódniczkę mierzy koziołek...".

Wejścia do kin oślepiają jeszcze większą ilością światła, niż długie szeregi sklepów i magazynów, również nie oszczędzających na neonach. Przed kasami pustki, na widowniach zajęty co dziesiąty fotel. W bramach ciemnoskórzy Turcy i Marokańczycy sprzedają gazety. Jugosłowianie wysiadują na dworcach, czekając nie wiadomo na co. O pracę coraz trudniej.

W Praterze — największym, najbardziej jaskrawym i hałaśliwym, a zakonserwowanym w bardzo szpetnym guście strasznego mieszczaństwa Luna Parku, młodzi ludzie malują na asfalcie kredkami ogromne kopie z Rembrandta i Modiglianiego. Obok klęczącego, zapracowanego młodzieńca spodek z napisem: „na dalsze studia". Leży w nim osiem szylingów — tyle kosztuje w Wiedniu bilet tramwajowy.

Zresztą — nie spisuję „wrażeń z pobytu". Chciałem uzupełnić artykuł, spolszczony w „Odgłosach" przez Jerzego Czecha: „Hełm Rottenfuehrera SS kupię pilnie". Echa tej atmosfery, tego swoistego „retro" — nawiązującego do okresu niesławnej Trzeciej Rzeszy — docierają, jak widzicie, do naddunajskiej stolicy, chociaż nie stanowią w jej własnym, niepowtarzalnym klimacie czynnika godnego uwagi. Możemy tylko z owych odprysków i ech wnioskować, jak to musi wyglądać w Hamburgu, Kolonii i Frankfurcie.

Cóż, we Francji nie będzie się już od przyszłego roku obchodzić rocznicy zakończenia wojny. Francuzi chcą zapomnieć. Niemcy znad Renu bardzo chcą pamiętać.

ĆWIEK

PROPOZYCJE

KIEDY ŚPIEWAŁA BUDKA SUFLERA

W ubiegłym tygodniu chwaliłem telewizyjną **„Panoramę"** i **Eugeniusza Pacha** osobiście, utrzymując, że TVP dorobiła się — przynajmniej w „Panoramie" — skutecznego stylu krytyki. W **„Głosie Robotniczym"** natomiast w środę, 25 czerwca 1975 roku, a więc długo przed ukazaniem się mojego felietonu pt. **„Żaby w internacie"** przeczytałem następujące sformułowania:

„A na zakończenie odpowiedź na dwa telefoniczne pytania. Dlaczego redaktorzy „Panoramy" tak znęcają się publicznie nad niektórymi dyrektorami. Czyż nie zdają sobie sprawy, że można osiągnąć ten sam efekt bez pozostawienia u telewidzów uczucia niesmaku lub wręcz oburzenia? Kto im dał uprawnienia do robienia chłosty tego rodzaju? W końcu jeśli zakład pracuje źle, to jest to sprawa prokuratora". Ma pan rację — odpowiada na to pytanie recenzent telewizyjny „GR", Małgorzata Karbowiak — **ten sam efekt można osiągnąć innym sposobem".**

Drugie pytanie telefoniczne, skierowane do „GR", dotyczy różnicy w ocenie spektaklu telewizyjnego teatru z Łodzi. Mnie ta sprawa nie interesuje, pozostawmy więc ją na boku. Bardziej interesujący jest pogląd w sprawie krytyki prasowej — a pod tym mianem można też rozumieć krytykę telewizyjną. Małgorzata Karbowiak przyznaje rację anonimowemu Czytelnikowi „GR", który telefonicznie skierował do redakcji pytanie. A więc pogląd wyrażony przez owego anominowego Czytelnika jest poglądem również Małgorzaty Karbowiak, gdyż jak sama pisze: **„ma pan rację".**

Tu chciałbym zwrócić uwagę, że to, co Małgorzata Karbowiak nazywa łaskawie **„telefonicznym pytaniem"** jest w istocie dość precyzyjnie sformułowanym poglądem, nad którym nie wolno przejść obojętnie. A cóż dopiero przyznawać mu rację.

W moim przekonaniu **„Panorama"** nie znęcała się nad dyrektorami, ani ich publicznie nie chłostała. To, że dziennikarze telewizji domagają się od swoich rozmówców konkretności, że nie dopuszczają do dawania wykrętnych odpowiedzi — tylko dobrze o nich świadczy. Mają do tego o b y w a t e l s k i e prawo. Zbytnio przywykliśmy do wodolejstwa i podglądów, które można bezpiecznie głosić w każdych warunkach i okolicznościach. Uczyła nas tego również i telewizja i — jak widać — skutecznie nauczyła, skoro sami telewidzowie nie aprobują dążenia do skuteczności. Ale kiedyś przecież trzeba było publicznie powiedzieć: panowie nie oszukujmy się wzajemnie, bo nic z tego dobrego nie wyjdzie.

Nie oszukujmy się, że **„jak zakład pracuje, źle, to jest to sprawa prokuratora".** Prokuratura ma zupełnie inne zadania i jej działanie nie zwalnia n a s od wyrażania n a s z e j opinii na ten temat. Zasłanianie się prokuratorem jest bardzo wygodne. Pozwala obojętnie przechodzić koło wszelkich nieprawidłowości. Pozwala kierować się mylnym przekonaniem, że jeśli ja nie zareaguję, to zrobi to za mnie i za innych prokurator. Prokurator nie jest jednak panaceum na wszelkie zło.

Wiele u nas mówiło się o krytyce i o reakcji na krytykę. Powtarza się od lat, że krytyka powinna być k o n k r e t n a, że powinna unikać uogólnień a pokazywać konkretne zaniedbania, nieprawidłowości i błędy, ukazujące równocześnie ich sprawców i sposoby naprawienia tego, co jest złe. W **„Panoramie"**, o której mowa, te postulaty zostały w zasadzie spełnione. Czegóż więc jeszcze chcieć?

Z mojej praktyki sporo wiem o reakcji na krytykę. Oto drobny przykład. Nie tak dawno w felietonie pt. **„Nieruchome schody"** wspomniałem o dziwnej praktyce łódzkiego **„Uniwersalu"**, w którym to domu towarowym bezustannie nieruchomo stoją ruchome schody. Czy myślicie, że **„Uniwersal"** był uprzejmy zająć w tej sprawie stanowisko, że był uprzejmy odpowiedzieć. Nie.

Byłem kilka dni temu znów w **„Uniwersalu"**. Ruchome schody są nadal nieruchome, a ponadto w największym domu towarowym Łodzi nie działa klimatyzacja. Dla klientów jest to utrapienie na kilkadziesiąt minut, dla ludzi tam pracujących najmniej na 8 godzin. Bardzo chciałbym mieć jasność w tej sprawie i wiedzieć, czy mam czekać aż zaniedbaniem warunków pracy zajmie się prokurator, czy też może jest to sprawa, w której swoje zdanie powinna wyrazić opinia publiczna? A to jest tylko drobny przykład.

Artykuł Małgorzaty Karbowiak ukazał się w środę 25 czerwca 1975 roku. W czwartek TVP transmitowała z dziennym opóźnieniem koncert **„Przeboje sezonu"** z Opola. Był to bardzo nudny wieczór. Prawdziwe przeboje lansuje Polskie Radio w cyklicznej audycji **„Lato z radiem"**, ignorując zupełnie opolski festiwal. I postępuje słusznie. Moje gratulacje dla **„Lata z radiem"**. Ale i opolskiemu festiwalowi należy się podziękowanie, gdyż nuda wiejąca z opolskiej estrady pozwoliła mi spokojnie przemyśleć sprawę zasygnalizowaną i zbagatelizowaną przez Małgorzatę Karbowiak.

W piątek natomiast, 27 czerwca 1975 roku, z Opola — znów z dziennym opóźnieniem, powiało nudą debiutów. Mnie zainteresowali tylko: **Magda Bielecka, Alicja Majewska** i grupa **„EDEN"**. Rewelacją okazali się natomiast **DANUTA RINN i ANDRZEJ ZAORSKI**, który to z wielką kulturą estradową i niebywałym poczuciem humoru poprowadził jej recital.

A tak na marginesie: bardzo niedobrze jest z piosenką polską i opolską — jak słusznie użył tego sformułowania Andrzej Zaorski — kiedy do śpiewu bierze się budka suflera. Zadaniem budki suflera jest stać na scenie i powinien z niej płynąć cichy szept suflera. Martwe przedmioty nie powinny śpiewać.

MARCIN RODAK

MAGAZYN ODGŁOSY

Fot. Lesław Sagan

BRACTWO KURKOWE

Przed paru laty w Łodzi spotkało się kilku muzyków z mocnym postanowieniem założenia nowego zespołu instrumentalno-wokalnego. Nadali mu nazwę „Bractwo Kurkowe 1791": „data ta — jak informuje się widzów na koncertach grupy — czytana od tyłu daje faktyczną datę powstania zespołu: 1971 rok". Warto w tym miejscu dodać informację niezwykle istotną — od momentu powstania aż do dnia dzisiejszego „Bractwo Kurkowe" istnieje pod patronatem Domu Środowisk Twórczych w Łodzi (dawniej: Klub Związków i Stowarzyszeń Twórczych „Pod Witrażem"); współpracuje także ze Stowarzyszeniem Muzyki Estradowej w Łodzi.

Głównym inicjatorem powstania grupy był Piotr Janczerski. Jest to jedna z najbardziej barwnych postaci w naszej muzyce rozrywkowej; posiadający ukończone studia aktorskie łodzianin, debiutował na estradzie jako... konferansjer. Współpracował wówczas z jednym z najlepszych zespołów „mocnego uderzenia" — „Niebiesko-Czarnymi", a były to wczesne lata sześćdziesiąte. Wtedy właśnie zaczął pisywać teksty do piosenek i spróbował swych sił jako piosenkarz. Jego sposób śpiewania, poparty dużą kulturą wykonawczą, przypadł do gustu słuchaczom i wszedł na stałe do programu. Niebawem przyszedł pierwszy przebój — „Pożar w Kwaśniewicach" (muz. Zb. Podgajny, sł. P. Janczerski); była to jednocześnie ostatnia wspólna piosenka z „N-C", bowiem Piotr (a także występujący z nim coraz częściej w duecie — Jerzy Grunwald) postanowił ruszyć własną drogą artystyczną montując nowy zespół. W tym celu pozyskał do współpracy młodego utalentowanego kompozytora i gitarzystę — Jerzego Krzemińskiego: razem — w oparciu o kadrę łódzkich muzyków o dużym stażu — stworzyli jesienią 1967 roku grupę „No To Co", która stała się jednym z najbardziej znaczących zjawisk w rodzimej muzyce pop. Ze wspomnianym zespołem, Janczerski zjeździł całą niemal Europę, a także gościł za oceanem — w USA i Kanadzie: wszędzie witano ich bardzo serdecznie, na wszystkich niemal festiwalach, w których uczestniczyli, honorowani byli cennymi nagrodami. Również na festiwalu opolskim w 1968 roku piosenka przez nich wykonywana uzyskała jedną z trzech głównych nagród. Piotrowi Janczerskiemu, wraz z całym zespołem „No To Co" Minister Kultury i Sztuki przyznał nagrodę państwową III stopnia za upowszechnianie polskiego folkloru.

Jednak po czteroletniej pracy w „No To Co", Piotr Janczerski opuścił ten zespół i cały swój zapał skierował na zorganizowanie nowej grupy, którą być miało „Bractwo Kurkowe". Jego współzałożycielem był Zbigniew Nowak, kompozytor i pianista z dużym doświadczeniem. (Nawiasem mówiąc z końcem ubiegłego roku Nowak opuścił „Bractwo Kurkowe" i jest obecnie leaderem grupy „Happy End"). W ciągu kilku lat przez „BrK 1791" przewinęło się wielu młodych muzyków: Ryszard Godyń, Janusz Hryniewicz, Krzysztof Murek, Dominik Kuta, Eugeniusz Mańko. Po ostatniej zaś reorganizacji ustabilizował się obecny skład zespołu: Piotr Janczerski — śpiew, Kazimierz Michalczyk — gitara, Jerzy Górzyński — gitara basowa, śpiew, Andrzej Thenard — gitara, śpiew, inne instrumenty, Henryk Tomala — perkusja.

Programy „Bractwa Kurkowego" opierały się na kompozycjach własnych członków zespołu (głównie — Zb. Nowaka) z tekstami Piotra Janczerskiego i kilku innych renomowanych autorów. Tych programów było — jak dotychczas — cztery (pomijam aktualny — eksportowy). Pierwszy nosił nazwę „Pejzaże polskie", a jego fragmenty zostały zarejestrowane na płycie długogrającej pt. „Polskie dzwony". Drugie z kolei widowisko „Bractwa" — „Już gwiazdeczka się kolebie" — zostało także utrwalone na dużej płycie pastorałkowej. Niedawno ukazał się również na rynku płytowym longplay zatytułowany: „Życie, miłość, folk", na którym znalazły się utwory wchodzące w skład trzeciego programu grupy. Czwarty spektakl nazwany przez Piotra — „Muzykonem na głos ludzki" (do współpracy zaproszono także żeński chórek wokalny i dwie tancerki) został wystawiony premierowo na Wybrzeżu z okazji ubiegłorocznego festiwalu sopockiego.

W przypadku koncertów „Bractwa Kurkowego" na szczególną uwagę zasługuje fakt ich widowiskowości: nie jest to zazwyczaj tylko występ grupy instrumentalno-wokalnej, ale opracowany w szczegółach spektakl. Każdy program to zamknięta całość audiowizualna Eksperymentalnego Teatru Piosenki. Do dyspozycji oddano bowiem zespołowi Małą Salę łódzkiego Teatru Rozmaitości, i tam właśnie powstały pierwsze spektakle, na które złożyły się: piosenki, krótkie recytacje poezji, słowo wiążące, efekty akustyczne, ruch sceniczny i — wreszcie — elementy scenograficzne według pomysłu młodego łódzkiego plastyka — Juliusza Czajkowskiego. W ten sposób narodziła się nowa, na gruncie polskim, forma prezentacji utworów słowno-muzycznych — Teatr Piosenki. „Od dawna myślałem o czymś takim — powiedział mi, po kilku miesiącach działalności Teatru, Piotr Janczerski — ale dopiero teraz pomysł dojrzał do realizacji". (Na podobnych, „teatralnych" zasadach zespół przedstawiał swoje programy m. in. w „Starej Prochowni" w Warszawie i w gdańskim Teatrze „Miniatura").

„Bractwo Kurkowe" ma za sobą wiele zagranicznych wojaży, m. in. odwiedzili czterokrotnie ZSRR i NRD, trzykrotnie RFN, a ostatnio Szwecję i Norwegię. Grupa reprezentowała nasz kraj na Światowym Festiwalu Młodzieży i Studentów (Berlin 73), uroczystościach otwarcia Mistrzostw Świata w Piłce Nożnej (Monachium 74) oraz w czasie Dni Polskich w Essen. Sporo cennych nagród zdobyli członkowie zespołu na krajowych festiwalach w ciągu ostatnich dwóch lat.

Natomiast przed dwoma miesiącami — indywidualną tym razem — Honorową Odznakę m. Łodzi przyznano leaderowi „Bractwa Kurkowego", Piotrowi Janikowi-Janczerskiemu doceniając ambitną działalność jednego z naszych najbardziej konsekwentnych artystów estrady.

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

SAMO ŻYCIE

Odwiedził nasze miasto Daniel Olbrychski wędrujący po kraju z monodramem opartym na poezji Cypriana Kamila Norwida. Na spektakl zapowiedziany w jednym z klubów środkowiskowych publiczność stawiła się tłumnie. Po chwili pojawił się znany aktor, który uznał za stosowne wygłosić przed swoim właściwym występem, dłuższy monolog na temat różnych aspektów zarabiania pieniędzy ilustrowany nazwiskami konkretnych osób. W pewnym momencie stwierdził autorytatywnie: — w naszym kraju zarabianie pieniędzy na ogół zalicza się do spraw wstydliwych...

— A ja się nie wstydzę, bo mam płacone według stawek państwowego cennika — zareplikował w tym miejscu jeden z obecnych. Siedział w tylnym rzędzie. Nietrudno było dostrzec, że nie jest całkiem trzeźwy. Organizatorzy spektaklu widać uznali, że wobec tego nie ma prawa ani do zabrania głosu ani do dalszej obecności na sali. Możliwie dyskretnie wyprowadzili go, gdy ktoś się ozwał w obronie nieszczęśnika: — A może tylko przedmowa temu panu się nie podoba skoro przyszedł posłuchać poezji Norwida?...

D. Olbrychski nawet dodał: — Może rzeczywiście poezja Norwida spodoba się temu panu...

Niestety, organizatorzy działali tak szybko, że zamykały się już drzwi za niefortunnym oponentem. W ostatniej chwili zdążył jeszcze powiedzieć dając dowód swej niepoprawności: — Jak by mi nie przypadło do gustu to i tak bym wyszedł nie czekając końca...

Zasadnicza sprawa — czy zarabianie pieniędzy jest sprawą wstydliwą czy też nie — pozostała nierozstrzygnięta. Nikt już więcej nie ośmielił się odezwać...

K. TUROWSKI

OPOWIEŚCI NIEPRAWDZIWE

RYSOWAŁ: JACEK BROMSKI

WENUS-75

Fot. C. Misiak

MICHEL SIMON

W jednym z paryskich szpitali zmarł w wieku 80 lat Michel Simon, jeden z największych aktorów filmowych. Kilka tygodni temu podziwialiśmy go jeszcze w telewizji w jednej z ostatnich kreacji w filmie p.t. „Ten nieznośny dziadek". W roli specjalnie napisanej dla niego, wielki aktor odtworzył po mistrzowsku dziadka Pericho, który wrodzoną dobrocią, łączącą się często z kłótliwością i kaprysami, doprowadza do pogodzenia zwaśnionej pary małżeńskiej.

Kim był M. Simon, którego filmy do dziś przyciągają przed mały ekran liczne rzesze wielbicieli jego talentu?

Nazywał się właściwie Francois Simon. Urodził się w 1895 r., w tym samym czasie, w którym bracia August i Louis Jean Lumière opatentowali pierwszy w dziejach kinematografii aparat filmowy do wykonywania zdjęć ruchomych i ich projekcji.

Był synem rzeźnika genewskiego, a zarazem dobrze prosperującego właściciela sklepu wędliniarskiego.

— Mój ojciec nie lubił swego zawodu — zwierzał się aktor przyjaciołom. — Wolał całymi godzinami oglądać swoje zbiory numizmatyczne, niż parać się brudną i nieprzyjemną robotą, jaką było zabijanie zwierząt w rzeźni. Ponieważ zawód ten, zwłaszcza w połączeniu z wędliniarnią przynosił niemałe dochody, ojciec mój ubzdurał sobie, iż ja — jako dobrze wychowany i posłuszny syn, zajmę jego miejsce w rzeźni. Początkowo dałem się zwieść pięknym słówkom i przez rok prawie zabijałem w jego zastępstwie świnie. Ale w końcu miałem dość tej potwornej masakry. Zbuntowałem się i powiedziałem: — Nie pójdę więcej do rzeźni: Wyjeżdżam do Paryża i kwita!

Mimo próśb i błagań, a nawet gróźb, Michel opuścił dom rodzinny i wyjechał — jak postanowił — do stolicy Francji.

Występował w Mantreuil-sous-Bois razem z rodzicami późniejszej piosenkarki Edith Piaf. Oboje występowali w tym samym programie, co Michel: on jako akrobata, ona jako śpiewaczka. Nie mieli jednak powodzenia i po pewnym czasie musieli zrezygnować z występów. Wkrótce to samo uczynił Michel. Wyczerpująca praca tancerza-akrobaty zniechęcała go. Porzucił ją — jak poprzednie — raz na zawsze.

Próbował tym razem dostać się do genewskiej trupy aktorskiej, prowadzonej przez dyrektora Rosjanina Pitojewa. Michel odwiedzał ten teatr jeszcze w czasie pobytu w mieście rodzinnym i spotykał się nieraz z jego kierownikiem. Teraz — po niepowodzeniach — odwiedził go i prosił o przyjęcie do trupy. Pitajew przeprowadził kilka prób i przekonał się o niewątpliwym talencie Simona. Przyjął go więc do swego teatru. Od tej chwili Michel stał się aktorem, o czym marzył już od dawna.

Do największych osiągnięć artystycznych M. Simona należą jego kreacje w filmie R. Claira „Urok szatana", zrealizowany w 1950 r. Gra w nim podwójną rolę: starego prof. Fausta i Mefistofela. (Rolę młodego Fausta kreuje Gerard Philipe). W tych dwóch rolach najpełniej wykazał Simon swój kunszt aktorski, łącząc głęboki smutek z komizmem, realizm z niesamowitością, dramat z groteską.

„Urok szatana" przedstawia Fausta tryumfującego nad złem, uosobionym w Mefistofelu. Wprawdzie Faust podpisał cyrograf, ale nie dał się użyć jako ślepe narzędzie szatana. Wolał zrezygnować z nieograniczonej władzy, jaką mu dawał Mefistofel, niż wykorzystać ją na zniszczenie świata.

Za najlepszą męską kreację w filmie, M. Simon uzyskał nagrodę na festiwalu w Punta del Este w 1950 r.

Gdy w 1957 r. we Włoszech, w trakcie nakręcania filmu p.t. „Niejaki pan Jo", rozchorował się ciężko z powodu silnie reagującej na organizm maści, którą ufarbowano mu brodę, wbrew zaleceniu lekarza nie przerwał ani na chwilę swojej pracy, jedynie dlatego, by nie narażać innych aktorów biorących udział w filmie, na straty materialne. Przez 5 tygodni, walcząc z nadludzkim wysiłkiem z chorobą i ogólnym osłabieniem, wytrwał do końca, aż do ukończenia filmu. Dopiero teraz poddał się gruntownemu leczeniu.

Simon cenił bardzo R. Claire'a i Polaka, Waleriana Borowczyka. Ten ostatni zaimponował mu przede wszystkim jako „świetny rzemieślnik kina", który potrafił nie tylko tworzyć dobre filmy, ale być równocześnie świetnym projektantem dekoracji i kostiumów. Dał temu wyraz w jednym z ostatnich już swoich wywiadów, przeprowadzonym z przedstawicielem miesięcznika francuskiego „Cinéma":

— Sam nawet wykonał krucyfiks, taki, który nosili zakonnicy przed wiekami. To świadczyło o wielkiej miłości Polaka do kina. Toteż bez wahania zgodziłem się na zagranie jednej z ról w jego filmie „Blanche".

FRANCISZEK LEWANDOWSKI

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-102 telefony 652-44, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Łódź, ul. Armii Czerwonej 28. Zam. 1442 U-12. Nr indeksu 37006/36762.